

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Novembre

1971

Price 20 p.

Cena 20 p.
\$ 0.50; 2.70 F.



B.D.I.C

SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

LISTOPAD
1971

Nr 88/1235

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



Fot. J. S. MARKIEWICZ

FP 2156

W NUMERZE :

25 lat SPK	1
<i>S. Benedykt</i> : Felieton Jubileuszowy	2
Na tropach barbarzyństwa	4
<i>M. Hemar</i> : Wiersze o Lwowie	5
<i>Ryszard</i> : Śp. Tadeusz Krasoń	9
<i>M. Tomkiewicz</i> : Kociołek irlandzki	10
<i>M. Wyrwicz</i> : Tajemnicze plenum KC PZPR	15
<i>A. Stambrowski</i> : Trzeba więcej wiary niż rozumu	17
<i>W. Opolski</i> : Kuba po 11 latach rządów Fidel Castro	20
<i>H. Przyborowski</i> : Oblężenie Belza	23
<i>L. Bojczuk</i> : O mieście „co było tym chlebem“	25
<i>J. Surynowa-Wyczółkowska</i> : Parnas z „Udziałowej“	26
<i>K. Brzozowska</i> : „Stare murki“ (III)	30
<i>M. Kubiak-Żytomirska</i> : Z Peiperem w „Mozaice“	32
<i>F. Chrzanowski</i> : Jeden dzień we Florencji	33
<i>Kage</i> : Przegląd spraw wojskowych	36
<i>J. Ostrowski</i> : „Świadek“ Romana Orwid-Bulicza	37
Z życia polskiego	38

Kazimierz Schleyen
LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: £1.50.

Do nabycia:

Księgarnia SPK
20, Queens Gate, Terrace,
LONDON, S.W. 7.

NASZA OKŁADKA

Odnaki SPK w kolejności od lewej
strony u góry: Złota Odznaka Honorowa,
Srebrna, Zwyczajna Odznaka Członkowska,
Medal 25-lecia, Krzyż Kombatantski, Kom-
pozycja: Tadeusz Terlecki.

PROGRAM

IX ŚWIATOWEGO ZJAZDU SPK

w dniach 12 do 15 listopada 1971 r.

Piątek, 12. 11.

Godz. 9.30 — Zebranie Rady Federacji w Domu Kom-
batanta — 20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

„ 17.30 — „Lampka wina“ w salach Kensington
Town Hall — High Street Kensington,
W. 8.

„ 19.15 — Otwarcie IX Zjazdu w sali Kensington
Town Hall, W. 8.

Część artystyczna pt. „Miłość wiecznie
żywa“ — montaż literacko - muzyczny i
koncert Chóru im. Szopena.

Sobota, 13. 11.

Godz. 10.00 — Obrady Zjazdu w „Ognisku Polskim“,
55, Princes Gate, S.W. 7.

Wieczorem prace w komisjach w Domu
Kombatanta.

Niedziela, 14. 11.

Sprawozdania komisji (termin poda pre-
zydium Zjazdu).

Godz. 12.30 — Msza św. w kościele pod wezw. św.
Andrzeja Boboli, celebrowana przez J. E.
ks. biskupa Władysława Rubina.

Po obiedzie dalszy ciąg obrad w „Ognisku
Polskim“.

Poniedziałek, 15. 11.

Godz. 10.30 — Zebranie Rady Federacji SPK w Domu
Kombatanta.

GRYF PUBLICATIONS LTD

POLECA:

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI, MAJA ŻYTOMIRSKA
Polska, którą opuściliśmy — cena £1.05

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Odebrano mi Polskę — £0.45; *Oczy jak bursztyny* — £1.05;
Ballada czarnomorska — £1.50; *Życie bez snów* — £1.40.

KSIĘGARNIA S. P. K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

Tel. 01 - 548 3500

OGŁOSZENIE

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM“,
czytają Polacy
w 25 krajach świata.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 88/1235

LISTOPAD 1971

Rok XXXI

Gdyby w roku 1946, kiedy powoływano do życia organizację cywilną żołnierzy polskich drugiej wojny światowej, którzy po jej zakończeniu postanowili nie wracać do swego rodzinnego, znalazł się ktoś obdarzony dalekowszyciem politycznym i odwagą, kto by zaryzykował twierdzenie, że organizacja ta będzie musiała istnieć przez następne ćwierć wieku albo i dłużej, okrzyknięto by go za wyjątkowo ponurego pesymistę i niebezpiecznego defetystę. Wierzono powszechnie w tymczasowość naszego pobytu na obczyźnie.

Nie ulega wątpliwości, że ten rodzaj uczuciowego optymizmu był nam bardzo potrzebny w tych chwilach dezorientacji, niepewności, rozterki i kryzysu zaufania w stosunku do własnych władz politycznych a w jeszcze większym stopniu do naszych aliantów.

W miarę czasu, w miarę konfrontacji z życiem, SPK zaczęło wchodzić na tory bardziej trzeźwego realizmu. Innej drogi nie było. Realizm ten wyrażał się w porzuceniu celów doraźnych, obliczonych na krótką metę na rzecz działania rzutującego w dalszą przyszłość.

W długim, niełatwym 25-leciu SPK zapisało na swym koncie dobre społeczeństwo, który dziś już można bez trudu podsumować i ocenić. W pierwszym rzędzie przejdzie ono do historii jako organizacja, która z dużym wysiłkiem i uporem spełniała zadanie przypominania swoim i obcym, że Polska niepodległości po drugiej wojnie światowej nie odzyskała i że o tę niepodległość trzeba nadal walczyć wszelkimi dostępnymi sposobami. Zadanie to w chwili obecnej staje się coraz trudniejsze wobec wzrastania na emigracji nowego pokolenia, które w obcym świecie osłabia jeśli nie zatracca całkowicie swoją świadomość narodową.

Budowanie zapór przeciw polskiemu rozplywaniu się w morzu obczyzny było zawsze główną częścią programu pracy społecznej tego Stowarzyszenia. Wyrazem tych wysiłków są szkółki języka ojczystego, biblioteki i wszelkiego rodzaju publikacje. A dalej,

ciągnęła zachęta do pielęgnowania tradycji narodowych, organizowanie zespołów artystycznych i drużyn sportowych.

Stowarzyszenie zajmuje się również dziedziną opieki społecznej, działając zarówno na rzecz własnych członków jak i szerokiego ogółu polskiego.

SPK ma swoją własną pozycję w polskim życiu zbiorowym poza Krajem. Podczas gdy inne organizacje wybrały za cel swojej działalności przeważnie jedną dziedzinę, SPK podjęło się pracy na wielu odcinkach jednocześnie. Chciałoby się powiedzieć, że wzięło na swe barki więcej, niż na to pozwalają zasoby ludzkie i środki materialne. W dodatku jeszcze pomaga i wspiera różne postronne instytucje i organizacje.

Zarówno przez zakres swej działalności jak też i to, że posiada swe oddziały w 18 krajach polskiego osiedlenia, SPK zajęło naczelną miejsce w naszym życiu społecznym. Stoi ono wysiłkiem zbiorowym swych członków, którzy pracując na rzecz ogółu poczytują sobie za zaszczyt i obowiązek. Praca ta obliczona jest na dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

Dziś, po 25 latach pobytu poza Krajem, społeczność polska ciągle jeszcze reprezentuje wysoki poziom patriotyzmu i daje raz po raz dowody gotowości do ofiar na rzecz nieziszczanego ideału wolności. Kombatanci mają prawo zapisać na swoje konto dużą część zasługi za ten stan rzeczy.

Robiąc rozrachunek z przeszłością, której jak to już podkreśliśmy, SPK nie ma powodu wstydzić się, ma ono zarazem obowiązek wyjścia myślą w przyszłość. Co przyniosą następne lata w życiu organizacji? Niewątpliwie, starsze roczniki pokolenia na którego barkach spoczywał dotychczas ciężar pracy społecznej, ustąpią miejsca młodszym, częstokroć już nie żołnierzom ubiegłej wojny, ale ich synom. Gdyby nie nastąpiła naturalna ewolucja w tym kierunku, Stowarzyszenie weszłoby w stadium powolnego zamierania.

Należy jednak mieć nadzieję, że silniejsze ośrodki kombatanckie przetrwają jeszcze przez szereg lat następnego 25-lecia. Również, wbrew pesymizmowi niektórych, można oczekiwać, iż nawet przy pewnym odsetku straconych dusz, znajdą się wśród nas zastępy ludzi średniego pokolenia i młodzieży, które pójda po drodze wytyczonej przez ojców.

Uroczystości jubileuszowe braci kombatanckiej połączone są ze Zjazdem Światowym w Londynie.

Witając serdecznie wszystkich Kolegów, którzy przybędą na te jubileuszowe obrady SPK, życzymy im jak najpożyteczniejszej wymiany myśli i spostrzeżeń na tematy, zaprzatające myśl Polaka poza Krajem oraz porozumienia się w sprawie jednolitego działania, które jest magna pars naszej siły.

FELIETON JUBILEUSZOWY

Srebrne gody kombatantckie, 25-ta rocznica założenia i utworzenia nowej organizacji czysto żołnierskiej, której inicjały S.P.K. są dziś znane w całym świecie. Mamy na myśli świat wolny, bo tam, dokąd dążyliśmy jeszcze w mundurach, jeszcze pod naszymi sztandarami — przed przeszło ćwierćwieczem — te nasze powiedzmy szczerze — nawet dumne trzy literki, dziś noszone w klapach naszych cywilnych marynarek, na naszych honorowych odznakach, zwykłych, srebrnych czy złotych — są bardzo niepopularne, są zakazane; a dzieje nasze, niestety, zamazywane w pamięci tych, którzy ją mają przekazać młodszemu pokoleniom, tym przeważnie urodzonym w okresie wojny czy już po niej.

W okresie naszej niezawinionej niewoli. Nie jest to żadna przesada.

Niedawno zgłosił się do mnie młodzian z kraju, który otrzymawszy właśnie maturę, pragnął zobaczyć Zachód, ten zgniły Zachód i trochę zarobić na dalsze studia. W takich sprawach nieoficjalnym „konsulatem PRL“ — jest nie Weymouth Str. ale nasz skromny budynek, na którym w dniu naszego święta 11 listopada powiewać będzie flaga polska. It's a Polish National Holiday, powiedzą przechodnie. Młodzian z Kraju przekazał mi pozdrowienia, cytując jego słowa, od starszego mocno pana, „on służył w jakichś Legionach, był jakimś beliniakiem. Nawet nie wiem o co chodzi“.

Legiony, ulani Beliny, żołnierze zwycięskiego roku 1920-ego — to już czasy nieznane, zamierzchłe dla większości tego pokolenia, wychowanego w komunistycznej Polsce. Nawet dla tych z egzaminem dojrzałości, którzy chyba historię Polski, historię niepodległego dwudziestolecia powinni znać dobrze. Nie znają, nie im o tym w szkołach nie mówią. Znąją te czasy tylko nieliczni, którzy czytają zakazane książki, niedostępne dla ogółu i prawdziwe dzieje Polski. Dla większości — to w najlepszym razie legendy rodziców, opowiadania starszych.

W uroczystej i podniosłej chwili srebrnych godów kombatantckich, pierwszego już jubileuszu żołnierzy z ostatniej wojny i ich organizacji światowej, którą założyli i stworzyli (gdy zły los i jeszcze mniej przychylni i przewidujący przywódcy walczących o wolność świata wielkich narodów — powrót do ich własnego kraju im uniemożliwili, ich Kraj nie odzyskał wolności, choć o nią walczyli na wszystkich frontach wojennych; należy przejrzeć swe szeregi, choć mocno przerzedzone, gdy zbiórka ogólna wszystkich nie jest możliwa.

Zacząć musimy od tych najstarszych, których pozostało już bardzo niewiele — jednostki, o których ze słuszną dumą mówi się: „on jeszcze brał udział...“

Józef Piłsudski uważał przed Legionami za pierwszych żołnierzy, odradzających się sił zbrojnych, tych z „Bojówki“, a przede wszystkim tych spod Bezdan, tych którzy zdobywali choć bardzo nielegalnie środki na dalszą pracę wojskową, na przygotowanie kadr.

Któż z nich pozostał przy życiu, o którym z nich można coś jeszcze powiedzieć.

Żyje jeszcze gdzieś zaszyty na odludziu w Brazylii, Czesław Świrski, najmłodszy z uczestników wyczynu bojowego pod Bezdanami. Był wtedy w roku 1908-ym urodzonym młodzianem chyba 18-letnim. Skazany na śmierć — przez carski sąd — uniknął wykonania wyroku i szubienicy dzięki świetnej obronie późniejszego ambasadora Rzeczypospolitej Stanisława Patka, który osłonił go przed tym wyrokiem podkreślając niepełnoletność jego i tytuł kniazowski. Przeżył przykuty do tacek i wrócił po rewolucji do Kraju. Adiutant Naczelnika Państwa otrzymał prawo do honorowego stopnia oficerskiego. Prosił o przydział do tworzącej się marynarki wojennej, gdzie z czasem dosłużył się rangi komandora. Z pamiętników Jana Lechonia wiemy, że postać jego włączyć chciał do powieści swej której, niestety, nie do-

kończył. „Bal u senatora“ — miał brzmieć jej tytuł.

Gdy już mowa o tych najstarszych nie wolno pominąć 2 postaci tej nowej, a dziś nie zamkniętej ale raczej niezakończonych epoki — choć już nieżyjących, ale długo przebywających wśród nas: ś.p. Tomasza Arciszewskiego, który był żołnierzem Bojówki, jednym z głównych uczestników akcji bojowej pod Bezdanami, jednym z tych który wyprzedzał na czele wywiadu marsz Kadrówki z Oleandrów Krakowskich i wreszcie był ostatnim premierem wolnego i niezależnego Rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie.

Jej ostatnim kanclerzem, którego protest przeciw zdradzie jałtańskiej znajduje się w archiwach wszystkich sojusznicznych kancelarii dyplomatycznych. Podstawowy dokument najnowszych dziejów Polski.

Gdy przywołujemy jakby na żołnierskim apelu w ćwierćwiecze narodzin SPK tych najstarszych, żyjących i tych, którzy niedawno nas opuścili, nie wolno pominąć tego, który był nie tylko wodzem naczelnym w najbardziej trudnych, ekspozowanych dla Kraju naszego chwilach — ale przede wszystkim najbliższym towarzyszem prac odnowiciela wojska, twórcy nowoczesnych i niezależnych sił zbrojnych Rzeczypospolitej, Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

Bo w historii Polski, tej prawdziwej i niefałszowanej obcami nakazami i dyrektywami gen. broni K. Sosnkowski, zmarły w podeszłym wieku przed zaledwie 2-oma laty słusznie uważany będzie — jako ten „second in comand“ — by użyć tu znanego terminu i wyrażenia w naszym odrodzonym od 1914 roku czy jeśli ktoś woli od 1918 roku wojsku.

Z okresu przygotowań wojskowych — pierwszych zaczątków prac organizacyjnych w „bazie galicyjskiej“ — po upadku rewolucji w Królestwie — żyją wśród nas w krajach naszego przymusowego osiedlenia najstarsi wiekiem i stopniem — w Londynie gen. Marian Kukiel, zna-

ny historyk tego okresu, generał Stanisław Skwarczyński, gen. Józef Wiatr i wielu innych, nieco młodszych. Żyją jeszcze rozproszeni po świecie i w Kraju żołnierze Pierwszej Kadrowej, której przypadł ten wielki zaszczyt obalenia słupów granicznych 6 sierpnia 1914 roku.

Nie wolno zapomnieć o tych, którzy byli załóżkami i kadrą Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera tworzonej z ochotników w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych A. P., a wywodzących się z szeregow popularnego tam „Sokoła”. Choć nie żyją ich przywódcy, żołnierze tej sławnej formacji, skupieni w dawno przez siebie stworzonej organizacji SWAP-u — są starszymi naszymi towarzyszami — nas polskich kombatantów — spod znaku SPK.

Zapewne w Kraju naszym, jak i w krajach naszego rozproszenia żyje wielu, których jako najstarszych nie tylko wiekiem ale w swej służbie wojennej, skądkolwiek swój rodowód żołnierski wywodzą — postawić musimy na czele naszych list i spisów kombatanckich.

I tak, by choć przykładowo wymienić jednego z tych seniorów przebywa z nami w Londynie — towarzysza nasz ocalały z łagrów sowieckich, generał Wołkowicki, jedyny chyba żyjący uczestnik słynnej bitwy morskiej pod Czuszimą w 1904 roku — podówczas jeden z najmłodszych i ocalałych oficerów wojennej marynarki rosyjskiej. Gdyby nasi gospodarze brytyjscy o tym wiedzieli może zaprezentowaliby go cesarzowi Hirohito w czasie jego tournée w tym kraju.

Żołnierze Legionów, P.O.W. i wszystkich formacji polskich na wschodzie, wymienimy w tym naszym młodym srebrnym jubileuszu choćby ich nazwy — Dowborczyków i Kaniowczyków Sybiraków i Murmańczyków a następnie powstańcy wielkopolscy i górnośląscy to najstarsi kombatanci, czynni jeszcze na wielu szczeblach naszej wspólnoty kombatanckiej od kół poczynając do najwyższych władz włącznie.

Odchodzące najstarsze pokolenie żołnierskie przekazuje młodszym i przyszłym nie tylko swą piękną tradycję tych „pierwszych” po długiej niewoli, nie tylko swe wspomnienia

świadków naszej historii, ale również utrwalone w druku swoje dzieje.

Pozostaną i głosić będą prawdę o drogach, którymi szli i doszli do Polski niepodległej i o którą walczyli przed przeszło pół wiekiem.

A wszystkim tym przekazom, historii udokumentowanej i pięknej legendzie towarzyszyć będzie jej wierny druh — pieśń żołnierska, niezapomniane melodie, skoczne czy tęskne, do których dołączyły się nowe i może jeszcze bardziej dziś wzruszające. Pieśń, która nie zginie, powstała niemal w każdej kampanii, każdej większej rozprawie orężnej i bitwie, stoczonej na tyłu frontach 2 wielkiej wojny światowej.

Bo któż nie znał i nie zna w Kraju „Maków na Monte Cassino”, czy „Marszu Brygady Karpackiej”; jak szybko, jakby najważniejsza depecha radiowa przebiły się przez fronty, tak mocno ufortyfikowane marsz Akowców czy Mokotowa. Na wszystkich frontach, gdzie znalazł się żołnierz polski, czy pod Narwikiem, Tobrukiem, pod Arnhem czy Falaise piosenka rzewna, nieznanego chyba autora o tym sercu zapasowym w plecaku, wzruszała i była jednako popularna.

Kontrakcja, wroga propaganda sowieckich czy hitlerowskich radiostacji-szczekaczek miały pewne znaczenie, ale tylko dla kpin i niefrasobliwych żartów.

Gdy dziś, w dniach pierwszego jubileuszu — młodego, zaledwie srebrnego my jako byli żołnierze spoglądając wstecz, na nasze przeżycia wojenne i nieraz poniewierkę, na trudne pierwsze lata urzędowania się i rozpoczynania nowego życia, często zupełnie odmiennego bytu w tak różnych warunkach sami postawimy sobie pytanie — co nas dalej tak mocno łączy, co daje nam tę wspólną mocną podstawę naszej działalności i tę wspólną mocną postawę — wobec wypadków w świecie — łatwo to możemy określić. Nie statut naszej organizacji, uchwalony po raz pierwszy przed ćwierć wiekiem, nie dalsze zmiany, które stworzyły z nas światową federację ogniw krajowych utrzymuje wspólnotę żołnierską czy kombatancką. Elementami zasadniczymi, które skupiają nas wszystkich rozsianych po

całym świecie w tyłu krajach, we wszystkich częściach zamieszkałego globu ziemskiego — są przede wszystkim prócz wrodzonej miłości do ziemi rodzinnej — nasza wielka tradycja żołnierska — ten wielki przekaz rycerski idący z pokolenia na pokolenie.

„Wszystko można stracić z wyjątkiem honoru” — ten ostatni nakaz ginącego ks. Józefa Poniatowskiego — nie został zapomniany we wrześniu, ani też potem w latach bezwzględnej okupacji.

Kombatanci, którzy z całego świata przybywają na to uroczyste święto jubileuszowe, na Zjazd Federacji Światowej SPK — to w większości żołnierze Korpusu gen. Andersa czy dywizji gen. Maczka, Brygady Spadochronowej i tyłu innych oddziałów, które walczyły na frontach wojny światowej, gdy piękna nasza armia, z takim mozołem a równocześnie z taką miłością stworzona, stawiając może jeszcze niedoceniony opór w samotnej kampanii wrześniowej — zejść musiała z areny walki.

Poszła nie tylko do obozów jenieckich, zesłała równocześnie w podziemie, stwarzając największą armię — szeregi A.K., przedostawała się na zachód, by walczyć we Francji, bronić Wielkiej Brytanii w Battle of Britain, być pod Narwikiem, walczyć pod Tobrukiem. Walczyły jeszcze ostatnie reduty i ostatnie formacje w naszej kampanii wrześniowej — by wymienić gen. Franciszka Kleeberga czy Hel, pod dowództwem admirała Unruga — gdy w sojuszniczej Francji powstał z konstytucyjnego przekazu poprzedników rząd i armia pod generałem Władysławem Sikorskim. Kraj cały odżył na wieść o tym i podporządkował się w pełni nowym legalnym władzom

Polska pozostawiona swym własnym siłom we wrześniu, biła się w następnej kampanii francuskiej 1940 r. dywizją grenadierów gen. Bronisława Ducha, dywizją strzelców pieszych gen. Prugar-Ketlinga i brygadą zmotoryzowaną gen. Stanisława Maczka.

W lojalnej współpracy z legalnym rządem — organizuje się Armia Krajowa, na czele której stoją ko-

(Dokończenie na str. 34)

NA TROPACH BARBARZYŃSTWA

Ostatnio nadeszły ze Lwowa wiadomości o tragicznym stanie cmentarzy polskich w tym mieście. Miejsca wiecznego spoczynku setek ludzi zasłużonych — pisarzy, obrońców ojczyzny, działaczy — otaczane ongiś pietyzmem wielkich mieszkańców Lwowa, przedstawiają opłakany widok. Zgrozą przejmuje opis obecnego stanu cmentarza Obrońców Lwowa.

Jest on całkowicie rozgrodzony, mur okalający go zburzony. W części wschodniej cmentarza urządzono wysypisko i palenisko śmieci. Groby znajdujące się wewnątrz Pomnika Chwały — nie istnieją. Zostały niemal całkowicie zrównane z ziemią.

Kolumnada Pomnika Chwały, wykonana z kamienia polańskiego za-

chowała się jeszcze. Zniknęły natomiast lwy sprzed wejścia: jeden znajduje się przed Parkiem Kultury, drugi na drodze do Winnik. Same kolumny pokryte są napisami z rysunkami dokonanymi rękami miejscowych chuliganów.

Katastrofalnie przedstawia się stan Katakumb, które są siedliskiem hippisów i elementów przestępczych. Całe Katakumby pokryte są rysunkami i napisami treści pornograficznej. Przez cmentarz prowadzi szeroka droga, którą wożą śmieci na wysypisko położone w jednej jego części.

Pomniki lotników amerykańskich, ufundowane przez społeczeństwo polskie z Chicago nie istnieją. Wszystkie groby są pozbawione krzyży i na-

pisów. Zniknęła płyta z grobu skąd wzięto zwłoki Nieznanego Żołnierza. Zniknęła również marmurowa płyta z grobu Obrońców Persenkówki.

Zdaje się, że nie ma na świecie Polaka, który potrafi przeczytać te wiadomości bez wstrząsu i uczucia dogłębnego oburzenia na ten nowy dowód barbarzyństwa. Swego czasu, ZBoWiD rozsyłał wśród emigracji szumne deklaracje o podjętej przez siebie roli opieki nad grobami polskimi w świecie. Czyżby to wielkie sanktuarium jakim są nasze cmentarze we Lwowie uszło jego uwagi? Jeśli tak, to może obecny głos protestu naszego skłoni go do akcji ratowania cmentarzy lwowskich przed zagładą.

Grób
Nieznanego
żołnierza
we
Lwowie



zniszczony
i bez
płyty
marmu-
rowej

WIERSZE O LWOWIE*)

PUŚCIZNA

Tak mi po głowie chodzi,
Może nie bardzo skromnie,
Że gdyby jednak — gdyby
Coś mogło zostać po mnie —

Szukam w myśli. Co wybrać?
Wiedziałbym. Ale, niestety,
Taka pośmiertna selekcja
Należy nie do poety.

Na nic jego marzenia,
Wola, pycha, czy skromność.
Co warte niezapomnienia,
To wybiera potomność,

Cenzor nieprześlągany,
Korektor obojętny,
Redaktor bezlitosny,
Metrampaż beznamiętny.

Jak ją dziś prosić, na brzegu
Nieodgadłej czeluści —
Niech wszystkie rymy moje
W czarną niepamięć puści,

Wszystkie jej podaruję,
Niech mi tylko uchowa
Te którymi szukałem
Powrotnej drogi do Lwowa.

By w szepcie moich wierszy,
W moich zurotek szeleście,
Została iskrą w popiele
Pamięć o moim mieście.

Aby strzępkami melodii
Zostały w powietrzu dźwięki
Calej mojej puścizny —
Jakiejs jednej piosenki,

Jednej lwowskiej piosenki
Co idzie we mgle przed siebie
I śpiewa cienkim głosem
O kulikowskim chlebie

I może komu przypomni
Nagle, pod obcym niebem,
Chleb co był całym miastem
I miasto co było tym chlebem.

I może tej piosence
Z daleka druga odpowie,
Że jednak być młodym... i jeśli
Kochać się... to we Lwowie.

Co cię obchodzi, kto to
Ułożył, kto to napisał,
Kiedy piosenką będziesz
Dziecko do snu kotyłał?

Dawno temu, pod jesień,
W kącie lwowskiego podwórza,
Ze zmiętej kartki papieru
Czytał mi Staszek, syn stróża,

Piosenkę którą sobie
Odpisał tego rania
Na Rynku — nagryzmolił
Pośpieszne pochyłe zdania,

Teraz je odczytuje
Prędko słowa potyka —
Śpiewa — i myli mu się
Rytm słów i ta muzyka —

„W dzień deszczowy i ponury,
Z Cytadeli idą góry“ —
Niby sekret do ucha mi mruczy —

„Szeregami Lwowskie Dzieci,
Idą tułać się po świeci“ —
Tak mi nuci i melodii mnie uczy.

Idą tułać się, mówi,
Po świeci. Na granicy
Czarnogórza. Na pustym
Podwórzu kamienicy

Lwowskiej, stał mały student
Z kartką papieru w ręce
I czytał mi o Lwowskich
Dzieciach co w tej piosence

Śpiewały, że się może
Uda im i że zdrowi
Wrócą z wojny i znowu
Zobaczą się we Lwowie.

Na Jagiellońskiej ulicy,
Na podwórzu w tej chwili,
Oni mi tak śpiewali.
Oni mnie nauczyli

*) Za pozwoleniem Autora i Wydawców ze zbioru wierszy: Marian Hemar, CHLIB KULIKOWSKI, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971.

Wiernej lwowskiej tęsknoty,
Wiecznej lwowskiej nadziei,
Wiary w powrót do Lwowa
Z czarnogórskiej zawięci,

Oni mnie nauczyli,
To była moja pierwsza
Szkoła lwowskiej piosenki,
Lekcja lwowskiego wiersza.

Chciałbym im odpowiedzieć,
Chciałbym wyciągnąć rękę,
Chciałbym im podziękować
Piosenką za piosenkę.

Zostawić ją we Lwowie
Na zawsze. Tak marzę skromnie.
Tak sam bym wybrał — gdyby
Coś miało zostać po mnie.

To mi marzenie miłe,
To mi nadzieja cała.
Ach, potomności — jak wołać,
Abyś mnie dostyszała?

20 lutego 1965 r.

ROCZNICA

To już dwudziesta rocznica
Konferencji jałtańskiej.
To wtedy umierający
Prezydent amerykański

Co był już tylko cieniem
Swej mocy, chwały i wiedzy
I pióro mu w rękę
Wodzili sowieccy szpiedzy,

A on wychudły i zgasty
Siedział wśród sowieciarzy
I już miał pustkę w głowie
I już miał śmierć na twarzy —

A z nim brytyjski premier
Który miał tylko w duszy
Jeden strach, jedną grozę,
Że się w kawałki kruszy

Imperium wyniszczone
Daremnym wojennym trudem,
Że skarb ma pusty i w długach,
Że Londyn w gruzach, że cudem

Jeszcze się wszystko nie wali,
Jeszcze się kupy trzyma,
Ale już trzeszczy, to tylko
Jedno miał przed oczyma,

Że Indie, że Australia —
Że Afryka Południowa —
Że deficyt — że Suez —
Gdzie spojrzeć pęka głowa

I w oczach się rozlążą
Szwyt odwiecznego ustroju,
O tym myślał, o niczym
Innym — w takim nastroju

Oni dwaj, wtedy, w Jaltcie
Usiedli do pokera.
A za partnera mieli
Zawodowego szulera.

A on był trzeźwy i krzepki
I zimny, jak z kamienia,
I wszystko miał do wygrania
A nie miał nic do stracenia,

Bo jakby nawet przegrał,
To też nic by nie stracił,
Bo by go na kolanach
Błagali, by im nie płacił,

Ale wiedział, że wygra
Bez żadnej awantury,
A oni mu, jeden za drugim,
Na siłę płacą, z góry.

Grat z nimi w znaczono karty,
Na pewniaka, bez lęku,
Zanim się odezwali,
Wiedział, co który ma w rękę,

A oni nie wiedzieli,
Że on nic w rękę nie ma,
Że bluffuje ich „streetem”,
Albo parkami dwiema,

Że ich w pole wywodzi,
Że ich w kółko tumanii,
A z tyłu za nimi stali
Jego kibice szczwani

I umówione sygnały
Mrugali do szachraja.
A on, patrzcie, filuje
I już stawki podwaja

I tylko się na dwie strony
Uśmiecha jak bazyliśzek
I zagarnia te fiszki.
A Polska jest jedną z fiszek.

A jedną fiszką zieloną
Co się na stole mieni
Jest Lwów. Patrzcie! Przegrali.
Schował ją do kieszeni.

A jedną fiszka zieloną
Na zielonym stoliku
Jest Wilno. Patrzcie! Przegrali.
I nie ma o to krzyku.

Grają jak dżentelmeni,
Towarzystwo niedbali.
A jedną fiszka żółtą
Jest Borystaw — przegrali!

A jedna fiszka, która
Na suknie różowieje,
To polskie zaufanie,
To są polskie nadzieje,

To ofiara co jeszcze
W zgłiszczach Warszawy się pali
I w nozdrzach świata wierci,
Dymem — patrzcie! — przegrali.

A ten Stalin, faktycznie,
Gra jak w natchnionym widzie,
Wprost nie do uwierzenia,
Jak jemu karta idzie!

A teraz kupka fizek —
Kupka wszystkich wolności.
Wolność od strachu, wolność
Pogardy i miłości,

Wolność prawa i słowa
I wiary i sumienia
I wyborów do sejmu
I samostanowienia,

Wolność od obcych wpływów
I własnych zdrajców — kanalii,
I narzuconych rządów —
Patrzcie! — znowu przegrali.

A ta fiszka — to Karta
Atlantyckiemu słowu
Powierzona na morzu —
Patrzcie — przegrali znowu!

Karta, kiedy się uprze,
Zawsze jednemu wali.
Krymski świt świecił w oknach,
Gdy od stolika wstali.

Wiatr w kolorowych flagach
Igrał w morskiej przystani.
Oni grali w pokera,
A my gorzko przegrali,

Nie ma już dziś żadnego
Z tej jałtańskiej partyjki.
Zabrali ze sobą do grobu
Swe bluffy, licytacyjki,

Umizgi i uśmieški,
Niedopite kieliszki,
Niedopalone cygara
I brudne karty i fiszki.

Zostawili po sobie
Pamięć nieszczęsnej zimy
I przegraną, za którą
My wciąż jeszcze płacimy.

I będziemy dopóty
Płacili, za cudzą winę,
Aż nam historia kiedyś
Ziści marzenie jedyne,

Spełni jedyne prośbę,
Jedyne życzenie, które
Brzmi tak: Jeżeli kiedyś
Grać przyjdzie o własną skórę,

Jeżeli my będziemy
W grze stawką nie na zabawkę,
Abyśmy mogli wtedy
Sami grać o tę stawkę.

Grać sami o własną skórę,
Gdy w nią ugryzie giez nas,
A nie jak w Jalcie, by obcy
Znowu grali o nas — bez nas.

P O M N I K

We Lwowie, na placyku swojego imienia,
Na spiżowym fotelu, na zrebie kamienia,
Siedział przez lata sławny galicyjski hrabia
W charakterze pomnika co miasto ozdabia.

Pod ziemią wierna Pettew,
Tameczny Skamander,
Pluskała po cichutku. Z góry Cytadeli
Wiatr wiersze mu do ucha szeptał. Aleksander
Fredro siedział wśród swoich współobywateli

I patrzył na ulicę na pamięć znajomą
I z ukosa, ukradkiem, na kobiet powaby.
Przy stolikach, na dworze przed kawiarnią „Romq“
Siedziały podstoliny i lwowskie Geldhaby.

Król kurkowy, pan Cześnik, w drodze do Naftuły,
Wracał z Parku Stryjskiego, z porannej przechadzki.
W „Szkockiej“ redaktor Papkin pisał artykuły,
Co dzień piętnował nowy skandal magistracki.

W południe, jak sypnęło się z gimnazjów żeńskich
Na Corso! — szły parami prześliczne dziewczyny,
Zwierzały się z tajemnych swych ślubów panięskich.
Za nimi żwawe Gucie i smętne Albiny

I za Klarą się skradał Waclaw, młody wilczek
W pelerynie uszytej z wiosennego wiatru.
U Zalewskiego suchy c.k. rejent Mileczek
Studiował w „Słowie Polskim“ recenzję z teatru.

W teatrze — „Pan Jowialski“ Fiszer i Gostyńska,
Cóż za para! Przez całe miasto ubóstwiana.
I młody Jaś Nowacki i Niusia Zielińska
I Feldman — jak komik! — w roli Szambelana.

Wieczorami, odbita od murów Katedry,
Ponad drzew konarami przylatała wrzawa —
To z teatru szumiąty oklaski i brawa
I jak wróble krążyły nad pomnikiem Fredry.

Znaliśmy się. Znał wszystkich na lwowskim podwórku.
Pamiętam że się do mnie uśmiechał nijako,
Gdy miałem pierwszy złoty pasek na mundurku
I na bakier włożyłem gimnazjalne czako.

Raz mnie widział gdy niosłem w głąb Romanowicza
Pod peleryną kwiaty... mój miłosny aport.
Tam moja pierwsza miłość mieszkała dziewczęca.
Nazywała się Hala, Halina Rappaport.

Widział mnie przed kawiarnią, z blaskiem kolo głowy,
I słyszał jak mi serce waliło łoskotem.
Czytałem po raz setny w gazecie „Wiek Nowy“,
Pierwszy wiersz podpisany „Maryan Hemar“. Potem

Kolo niego chodziliśmy w nocy z Brunonem
Jasińskim. Noc, pamiętam, że była gwiazdzista.
Bruno z monoklem w oku, z czerwonym plastronem,
Bardzo mi imponował jako komunista.

Gadaliśmy o wierszach, o odkrywczej magii
Asonansu co nowy styl w poezji stwarza.
Przyznaję, nie zwracaliśmy żadnej uwagi
Na hrabiego z pomnika, starego nudziarza.

W oczach migotał kubizm, w głowach ekspresjonizm,
Futurystyczny wschodził nad Lwowem poranek.
A w spiżowym fotelu siedział anachronizm,
Prymityw dla młodzieży, dla szkolnych czytane.

O, Boże mój, po świecie rozglądam się wokół —
Którędy iść mi teraz, jak drogi nie zmylić,
Aby wrócić na tamten plac i przed ten cokół
I tam stać, zdjęć kapelusz i głowę pochylić?

Ale jego już nie ma na pustej ulicy,
Gdzie go gwiazdy szukają oczami złotemi,
W nocy, w mieście struchlałym, przyszli bolszewicy
I wydarli go z bruku jakby drzewo z ziemi.

Nocą przybiegli zbójcy, było ich dwunastu,
I śpiącego na swoim placu go opadli
I przemocą wydarli bezbronnemu miastu,
I jemu bezbronnemu jego Lwów ukradli.

Wysiedlili złom spiżu i milczący kamień
I zaorali po nim plac i bruk uliczny
Stój teraz za granicą. W Wrocławiu się zamień
W tragiczny pomnik „Zemsty za ten mur graniczny“.

Tylko w nocy, we Lwowie, na pustym placu —
Patrzcie ludzie! — to jakieś zjawy księżycowe —
Ktoś w spiżowym fotelu siedzi na pomniku.
Ktoś stoi przed pomnikiem i pochyla głowę.

MARIAN HEMAR

JUŻ SIĘ UKAZAŁ

KALENDARZYK KOMBATANTA na rok 1972

niezbędny informator dla każdego Polaka, zawiera najnowsze kalendarium, daty imienin, obszerną listę adresów organizacji oraz instytucji polskich w świecie, wykaz firm, hoteli i niezbędne informacje praktyczne.

Cena: 45p. plus 3p. porto pocztowe.

Zamówienia kierować do

KSIEGARNI S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7. Tel. 01 - 584 3500

GRYF PUBLICATIONS LTD

POLECA:

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI, MAJA ŻYTOMIRSKA
Polska, który opuściliśmy — cena £1.05

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Odebrano mi Polskę — £0.45; Oczy jak bursztyny — £1.05;
Ballada czarnomorska — £1.50; Życie bez snów — £1.40.

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. 01 - 548 3500

OFICyna POETÓW
I MALARZY

Marian Hemar

ODY HORACJUSZA

Utwory wielkiego poety smutku
i żartu, wolne od szkolarskiego
pedantyzmu, jawią się w nowej,
uroczej szacie słownej.

Cena: £ 1.40

Do nabycia w KSIEGARNIACH

Ś.P. TADEUSZ KRASON

Drogi Tadeuszu!

Piszę do Ciebie ten list nie tylko w swoim imieniu, ale i Twoich najbliższych przyjaciół i kolegów. Wiem że go poczta nie doręczy, ale ktoś z nas przekaże Ci go, gdy się z Tobą spotka. A inaczej można by wiele zapomnieć, bośmy nigdy na ten temat nie rozmawiali.

Byłeś sportowcem z urodzenia i po sportowemu żegnałeś się z życiem. Raz tylko o śmierci powiedziałeś — boś wiedział. Ale ponieważ wydawało Ci się, że nikt o tym nie wie, więc snuleś plany o przyszłości jak inni wokół Ciebie. Kłamaliśmy wszyscy z wzajemnym miłosierdziem.

Gdy zawierucha wojenna wysadziła Cię z ziemi ojczyściej, toś zawsze mawiał, że Twoja matka, żegnając Ciebie, powiedziała: „Do przodu się nie pchaj, w tyle nie zostawaj. Kuferek na klucz zamykaj i swoje sobie myśl.“

Nie wiem, ile w tym było z dobrego kawału, którym sypałeś jak z rękawa przy każdej okazji — a ile Twojej filozofii życiowej, zamkniętej frazą mądrego ludu z niziny sandomierskiej.

Na pewno do przodu nie pchałeś się, choć Twoja praca wypchnęła Ciebie na przód w życiu społecznym.



TADEUSZ KRASON

Na pewno w tyle nie zostawałeś — bo to nie było ani w Twoim charakterze, ani w Twoim temperamentcie. Spalałeś się w pracy cały i bez reszty. I kuferek zamykałeś, choć nie szczydziłeś na kieliszek wśród przyjaciół nigdy — bo to był kuferek Twojej mozolnej pracy zarobkowej, do którego krom Twojej żony nikt nigdy nie dosypał. A „swoje“ sobie

myślałeś — prosto, logicznie, beż ogródek. I to co myślałeś, mówiłeś — nigdy poza plecami, prosto w oczy, nie licząc na konsekwencje. I myślę, że to były momenty, kiedy właśnie motała się przyjaźń. Chciałeś wtedy powiedzieć zapewne: tutaj na mnie możecie liczyć, tam idę swoją własną drogą, odmienną od waszej. W podjętych zobowiązaniach, we współpracy byłeś niezawodny. A przecież byłeś i samotnikiem. W tych chwilach samotności mierzyłeś siły własne na zamiary — z innymi zamiary według sił.

Nie byłem Twoim towarzyszem ani w Brygadzie Karpackiej ani w 3 D.S.K. Mało o tych sprawach mówiłeś. Ale gdy już nie jeden kieliszek wypiliśmy i zaśpiewaliśmy, to chyba zawsze z Twojej piersi wyrwało się: „Maszeruje brygada, maszeruje... co tchu, co tchu, Bo z daleka jej Polska wyczekuje, wyczekuje dzień po dniu...“ Wypatrywałeś Polski przez cały żołnierski i pielgrzymi szlak, tęskniłeś do niej, walczyłeś o nią. Zabrakło Ci tchu, drogi Tadku — za wcześnie.

Jakiegokolwiek słowa wobec śmierci nie znaczą. I te także. Zawsze do słów miałaś awersję, gdy nie stawały się ciałem, gdy nie stawały się działaniem.



Spoczywa na cmentarzu New Chiswick w Londynie.

KOCIOŁEK IRLANDZKI

MAŁA IRLANDIA to dzisiaj duża sensacja, gorące dziennikarskie bułki. Pożary i zgliszcza, bomby i strzały, barykady i uchodźcy. Prawda, na razie tylko w Północnej Irlandii, tej związanej Unią z Anglią, ale każdy strzał i bomba odbijają się tysiącokrotnym echem w Republice Irlandzkiej (Eire), pod parasolem której działają i prosperują, nielegalne i tam zresztą, terrorystyczne organizacje IRA (Irish Republican Army), prawicowi Provisionals i lewicowi Officials. Organizacje te nie przebiegają w środkach, niekiedy okrutnymi drogami dążąc do celu wspólnego dla całej Irlandii: przy-

TADEUSZ KRASOŃ

Wśród Twych najbliższych kolegów i przyjaciół, z którymi razem pracowałeś w Stowarzyszeniu Polskich Komabtantów przez szereg długich lat, powstała myśl ufundowania przechodniego pucharu dla młodzików, Twojego wojska na terenie Wielkiej Brytanii. Puchar imienia Tadeusza Krasonia będzie przechodni. Nikt go nie zdobędzie na własność. Jak pałeczka w sztafecie poprzez całe życie polskiego sportu na tej wyspie będzie podawany z rąk do rąk coraz młodszym.

I jeszcze jedna sprawa, o której mówiłeś — jak zwykle, w co uwierzyłeś — z entuzjazmem. Sprawa POSK. Solennie obiecałeś po powrocie ze szpitala, że zostaniesz „fundatorem POSK“. Niestety, ze szpitala już nie wróciłeś. Ale zapewniam Cię, że Twój przyjaciele to jedno przynajmniej z Ciebie zrobią — zostaniesz „fundatorem POSK“ i Twoje nazwisko będzie figurować wśród tych, o których emigracja będzie pamiętać.

Zapracowałeś na tę pamięć o Sobie kosztem własnego zdrowia i własnych spraw. Żegnały Cię hrabiowskie rodziny i generałowie, Twój koledzy i przyjaciele, oficerowie wszystkich stopni, podoficerowie i szeregowi. Żegnali Cię sportowcy-młodziki i harcerze z drużyny Twego syna Marka. Żegnało Cię polskie społeczeństwo, boś mu się dobrze zasłużył.

Ryszard

łączenia Północy do Republiki i poprawy losu katolickiej mniejszości, dyskryminowanej przez protestancki rząd w Stormont i Orangemenów.

Dziennikarz Peter Lennon („Sunday Times“ z 12.9.1971), który przeprowadził wywiady z szefami dwóch rywalizujących ze sobą frakcji Ira, twierdzi, że faszyzujący Provisionals stali się ostatnio bardziej wyrefinowani, strzelają bowiem „z względnie bezpiecznych stanowisk i nie dają się przyłapać na gorącym uczynku podkładania bomb“. I że ich „podręcznikiem“ jest książka „Bunt“ Menachema Bejgina, polskiego pochodzenia wodza podziemnej organizacji w Mandatowej Palestynie. Przewódca Provisionals IRA to rozgoryczony Anglik, który zmienił nazwisko.

„Smaragdowa Wyspa“ — tak nazywają Irlandię, która od podziału w r. 1921 składa się z 30 republikańskich powiatów (hrabstw) i z sześciu na Północy, — jest naprawdę szmaragdowa, bardzo piękna i stosunkowo mało jeszcze nadgryziona zębem cywilizacji. W przeciwieństwie do Anglików Irlandczycy są b. emocjalni, gadatliwi, na ogół przyjacielscy, często nielogiczni, niekonsekwentni i samochwały. Ich ultrapatriotyzm, podsycany wspomnieniami dawnych krzywd i upokorzeń oraz mitami i legendami z okresu walk o niepodległość, łatwo przechodzi w szowinizm, ogranicza horyzonty. Ich wielcy pisarze i artyści nie mogli i nie mogą w dalszym ciągu utrzymać się w małym liczebnie kraju, w którym na domiar wszystkiego ogólny klimat bigoterii i ostra cenzura krępują wolność ducha i wypowiedzi.

Irlandczycy i ich historia przypominają pod wieloma względami historię Polski. To kraj katolicki, w którym Kościół wywiera ogromny wpływ na wszystkie niemal przejawy życia (ostatnio w mniejszym stopniu!); jak Polska, walczył przez długie wieki o niepodległość, uciskany przez potężnego sąsiada, od którego jest uzależniony w dalszym ciągu. Irlandczycy są rozproszeni po całym świecie, ale utrzymują ścisłą więź z macierzą, która nie mogła

wyżywić swoich synów. Do czterech lat temu emigracja z Irlandii wyrażała się pokaźną liczbą 40.000 ludzi rocznie, obecnie spadła do 20.000. Kraj rozwinał się, gdyż rząd popiera i subsydiuje zagranicznych inwestorów, o ale nie jest to jeszcze na razie kraj dostatecznie uprzemysłowiony i samowystarczalny i bezrobocie jest poważnym problemem. Irlandczycy w diasporze uzupełniają braki: przyjeżdżają na wakacje i wydają pieniądze na zakupy, budują, inwestują, często łącząc przyjemne z pożytecznym, czyli duszoszczepitelne patriotyczne nostalgii z takimi czy innymi korzyściami, całkiem materialnymi. Oczywiście, ci z diaspory wiedzą wszystko lepiej od tubylców i w niezliczonych pubach (Irlandczycy lubią pić, ale nie soki owocowe!) ferują swoje polityczne creda, przeważnie jeszcze bardziej ekstremistyczne od poglądów Irlandczyków z jednym paszportem.

Historia Irlandczyków, małego narodu walczącego wszystkimi środkami o niepodległość, może nas wiele nauczyć; przede wszystkim zaś, raz jeszcze, czarno na białym zobaczymy, jak w głupi i bezwzględny sposób dokonany podział kraju może doprowadzić, nawet po wielu latach, do krwawych zamieszek, do wojny. Dowiadujemy się też z niej, jak z wielu innych historii, o głupocie i korupcji polityków, o brutalności okupantów i o okrutnym ucisku i o psychice bojowników o wolność albo, jak kto woli — terrorystów. Wiele narodów wygodnie zapomina o swojej historii, albo ją po prostu przekręca dla własnych bieżących celów. Irlandczycy wciąż wracają do niej z masochistyczną nostalgią, która w dramatycznym połączeniu z narodową fantazją i wrodzoną bigoterią często wkłada starą treść i anachroniczne wartości we współczesne ramy. Wróćmy i my do tej historii, bo bez niej nie zrozumiemy, o co tam właściwie chodzi. Ze znajomością historii też nie łatwo.

Zamieszkała przez Celtów Irlandia przyjęła chrześcijaństwo w V wieku. Od XII wieku — stałe walki z potężnym i zaborczym sąsiadem, Anglią.

W XVII wieku Irlandia uległa przeważającej sile Anglików, którzy na domiar złego byli już wtedy odszczepieńcami i nie uznawali Papieża. Protestantka Anglia prześladowała okrutnie katolicką Irlandię, szczególnie za czasów Króla Henryka VIII (tego od sześciu żon) i królowej Elżbiety I (i Cromwella). Olbrzymie obszary skonfiskowano wówczas na rzecz angielskich wielmożów, którzy eksploatowali kraj bez litości, traktując Irlandczyków jako godnych pogardy „natives“ i „papistów“. Akt Unii (r. 1800) zaostriżył sytuację Irlandczyków, którzy nie przestali protestować przez cały XIX wiek. Dzięki irlandzkiemu mężowi stanu, O'Connell (największa ulica w Dublinie!) i angielskiemu ministrowi, Gladstonowi, położenie Irlandii uległo nieznacznej poprawie, co zaostriżyło apetyty niepodległościowców. Przy pomocy podziemnej organizacji bojowej, Sinn Feiners, (vide piękny film „Córka Riana“), akty sabotażu i walki z Anglikami osiągnęły szczytowe napięcie w okresie I wojny światowej, kiedy część Irlandczyków walczyła z Niemcami w angielskim wojsku, a inni popierali ich, aby zgniebić Anglię. Uwielbiani przez lud Sinn Feiners byli potępiani z ambony przez katolicki kler za skrytobójcze mordy angielskich żołnierzy, co nie przeszkadzało, że gdy w r. 1921 Irlandia uzyskała niepodległość, ten sam kler i inni ich przeciwnicy uznali wielu z nich za świętych i narodowych bohaterów. O tym pamięta dzisiejsze IRA, które uważa się za następców Sinn Feiners i strzela do angielskich żołnierzy tudzież podkłada bomby w Północnej Irlandii, wbrew potępieniu katolickiego kleru i wielu irlandzkich polityków.

Podział dokonany w r. 1921: na obszarze ok. 70.000 km², nieomal równym obszarowi całej Anglii, żyje trzy i pół miliona mieszkańców, 90% katolicy, stolica Dublin. Na obszarze ok. 13.000 km² — półtora miliona mieszkańców, z czego dwie trzecie protestanci — powstał dziwotworek: autonomiczna Północna Irlandia stanowiąca część Wielkiej Brytanii, ale posiadająca własny parlament i rząd w Stormont. Granica między tymi dwiema częściami „Szmaragdowej Wyspy“ nigdy

nie była wyraźnie wyznaczona. Dzielnie poskręcana, czasem przecinała farmę, gdzie indziej — karczme, posiekana była (i jest, setkami oficjalnych dróg i nieoficjalnych drózek, których w stanie zapalnym, jaki obecnie istnieje, żadne wojsko nie jest w stanie upilnować. Wykorzystuje ten fakt faszystowska organizacja bojowa, Provisional IRA, nielegalna także w Irlandii, aby prowadzić, z powodzeniem, „war of attrition“ w Północnej Irlandii, z której — po podłożeniu bomb czy zastrzeleniu żołnierza angielskiego, — terroryści mogą uciec w ciągu godziny do Irlandii. Cel ich: doprowadzenie do wojny Anglii z Irlandią i przyłączenie Półn. Irlandii do Eire. Oprócz żołnierzy, przypadkowymi ofiarami są kobiety, dzieci i starcy, bez różnicy wyznania, zniszczony majątek i nerwy ludności, chaos ekonomiczny i jego konsekwencje, nowi uchodźcy, często z ulicy na inną ulicę, „protestancką czy katolicką“.

Z jednej strony barykady demagog Paisley na czele faszystowskich, ultra-konserwatywnych, protestanckich ekstremistów, którzy niewątpliwie przez długie lata dyskryminowali katolicką mniejszość, nie dopuszczając jej przedstawicieli do rządu ani do wyższych stanowisk; z drugiej strony — Bernadette Devlin, katolicka Joanna D'Arc, która właśnie urodziła nieślubne dziecko, a która należy do Nowej Lewicy, popierającej wszystkich terrorystów na świecie, z arabskimi włącznie. W środku — zwyczajni ludzie, którzy chcą spokojnie żyć, i umiarkowani politycy, którzy chcą przeprowadzić konieczne reformy bez rozlew krwi. Walka religijna? Częściowo. Walka klasowa? Też. Niepodległość Półn. Irlandii? Ale przecież dwie trzecie jej mieszkańców nie chce, więc gdzie demokracja? Kretyńskie posunięcia polityków 50 lat temu i dzisiaj? Na pewno. A prócz tego — demagogia, upór, życie przeszłością (z obu stron!), zbiorowy obłąd.

„Obok każdego Irlandczyka stoi cień bandyty (gunman)“ — zacytował mi powiedzenie irlandzkiego poety dyrektor angielskiej fabryki w Dublinie, Irlandczyk z krwi i kości który, jak wielu mu podobnych, z

wieśniaczej chaty zaawansował do pięknego domu, ma dwa auta, jacht i czynszową kamienicę, wszystko dzięki ścisłej współpracy z Anglikami.

„A co zrobicie, jak Anglicy oddadzą Półn. Irlandię?, zapytałam nie tak całkiem, niewinnie, świadoma, że Irlandia to kraj rolniczy, o dużym bezrobociu, dla którego dodatek kilkuset tysięcy przemysłowych robotników byłby katastrofą finansową.

„Do tego dążymy, to przecież nasze, a ci z Północy będą musieli przyzwyczaić się do naszego poziomu życia“, powiedział dyrektor, ale ten „nasz“ poziom zabrzmiał jakoś bardzo fałszywie w jego ustach. Irlandia nie jest w stanie dać swoim obywatelom bezpłatnej służby zdrowia i edukacji, ani innych korzyści społecznych, z jakich korzystają obywatele Półn. Irlandii, którym Anglia na dodatek do wszystkiego daje jeszcze ciepłą rączką ok. 200 milionów funtów sterlingów rocznie.

„Krzyczymy i oburzamy się na Anglię, ale w duchu modlimy się, aby nikt naszych krzyków nie słyszał“, powiedziała studentka, która zboczyła ze swojej drogi, aby doprowadzić mnie do ulicy, o którą spytałam.

„Precz z internowaniem w obu Irlandiach!“, krzyczał przez megafon owłosiony młodzieniec, zajmujący strategiczne stanowisko pod murami imponującego budynku Banku Irlandii w Dublinie. Pod filarami Banku wystawione były zdjęcia z walk ulicznych w Belfaście i pożarów, znane mi z angielskich gazet i telewizji. Do wielkiej puszkii wkładano grosiki na broń dla IRA. Kilkanaście chłopców i dziewcząt rozdawało buntownicze ulotki, z których jedna głosiła, że 100 Szwedów przyłączyło się do IRA.

W drugim punkcie zapalnym Dublina, pod Główną Poczta na ulicy O'Connell, ta sama mniej więcej scena plus kilku hippisów wyraźnie zagranicznych. Ręcznie pisany plakatik na bruku głosił zalety socjalizmu, jako idei humanitarnej, nie związanej z żadną religią. Twórcy plakatu wyliczyli z osiem religii, żeby było bardziej zrozumiałe. „Jezus jest smutny“, krzyczał stojący na skrzynce grubas z podejrzanie czerwonym nosem, i nawoływał do

powszechnego pokoju. Kilku fotografów, angielskich i zagranicznych, kręci aparatami na wszystkie strony. Chłopcy i dziewczyny w strojach niedbałych pozują im do fotografii, z dużą przyjemnością, ustawiając się w dramatycznych pozach obok plakatów, przed plakatami i za. „Zaczniemy od reszty wiadomości“, zapowiada głos spikiera z małego radia, którym nonszalancko huśta jakiś rozentuzjamowany amerykański turysta. „Reszta wiadomości“ to wszystko co się dzieje w Irlandii (Eire) i na świecie, a główna wiadomość, która następuje po tym — to sprawa Północnej Irlandii. Niewątpliwie, Dublin ma obsesję na tym punkcie, mówi się, pisze, fotografuje, debatuje i jeszcze raz mówi o Północnej Irlandii, czyli o „sześciu hrabstwach czy powiatach“.

Słowa, słowa... „Co innego opowiadanie, a co innego czyn“ — krzyczy bohaterka znanej sztuki irlandzkiego pisarza, Johna Millingtona Synge („The Playboy of the Western World“), wystawianej obecnie w narodowym teatrze w Dublinie. W sztuce tej, jak najbardziej charakterystycznej dla Irlandii i pewno dlatego zakazanej za życia autora — młody człowiek zwierza się wieśniakom, że zarąbał ojca i musi kryć się przed policją. Wieśniacy są zachwyceni opowiadaniem, robią z ojcobójcy bohatera, wszystkie dziewczyny szaleją za nim obypując go prezentami, a córka właściciela karczmy zaręcza się z nim. To wszystko aż do chwili, gdy rzekomo zarąbany straszny tatunio zjawia się we własnej osobie. Dla rozczarowanych wieśniaków „bohater“ stał się zwykłym oszustem, wobec czego zrozpaczony chłopak w chwili szału zadaje ojcu na ich oczach kilka ciosów siekierą. Ogólne oburzenie, zakochana narzeczona rani ex-bohatera rozżarzonym pogrzebaczem, aresztują go. O p o w i e d z i a n y mord zdobył mu szacunek i miłość, d o k o n a n y wzbudza pogardę i odrazę. Wszystkie emocje, egzaltowane, wyrażają się w gwałcie, bujają w czerwonych obłokach rozhuśtanej fantazji.

Jeżeli uwierzymy J. Synge — a powinniśmy, bo znał dogłębnie swoich rodaków! — to Taoiseach (Premier Eire) Jack Lynch jest w bardzo

ciężkiej sytuacji. Wybitnie inteligentny, adwokat z zawodu, p. Lynch wie, że przyłączenie Półn. Irlandii z jej milionem protestanckich obywateli, reakcyjnych, szowinistycznych i nienawidzących katolików, byłoby pyrrusowym zwycięstwem i doprowadziło do krwawej rzezi, już nie mówiąc o ruinie materialnej. Z drugiej strony, ekstremistyczne elementy w samej Irlandii naciskają na niego, aby walczył o to wszystkimi środkami, rozhuśtują opinię publiczną, rzecz nietrudna w irlandzkiej rzeczywistości. P. Lynch balansuje na rozpiętym nad przepaścią politycznym sznurze: publicznie potępia i denuncjuje terrorystów z rozdartej wewnątrz walkami IRA, którym po cichu dostarcza broni i schronu. Jednocześnie nawiązał kontakt z rządem Królowej i Stormont i pragnie doprowadzić do politycznego rozwiązania palącej sprawy. Ale skrytobójcy z IRA mogą zawsze powołać się na fakt, że dzisiejsi pacyfiści byli wczorajszymi IRA, zajmując najwyższe stanowiska w niepodległej Irlandii i stawiają im pomniki.

W Półn. Irlandii coraz gorzej: żołnierze angielscy padają nieomal codziennie, coraz więcej ofiar wśród ludności cywilnej, kompletny chaos. Inaczej w Dublinie czy na irlandzkiej wsi, gdzie panuje spokój i raczej pogoń za dobrami materialnymi niż za ideałami. W licznych sklepach irlandzkie wyroby kupowane masami przez turystów, tysiące ludzi na ulicach, każdy za swoimi sprawami, ledwo oglądają się na idealistów i „polityków“ pod Główną Pocztą i Bankiem Irlandii; na drogach, wśród pól i lasów, ciągnięte przez konie kryte wozy, barwnie malowane, w których „wracają do natury“ zarówno turyści jak i Irlandczycy zmęczeni technicznym postępem. W byłym Królewskim Morskim Klubie, w pięknej restauracji z widokiem na zatokę, gwarno i wesoło: to irlandzcy członkowie irlandzkiego obecnie klubu, właściciele łódek i jachtów, zjadają irlandzkie przysmaki, popijając świetną irlandzką kawę zaprawioną irlandzką whisky.

„Prawdę mówiąc, ta cała historia wychodzi nam już bokiem“, skarżył się właściciel niedawno odnowionego hotelu, rozglądając się przez ot-

nie, czy aby nikt ze służby nie podsłuchuje. W tym roku sezon turystyczny nie dopisał, ludzie nawet b. patriotycznie nastawieni, nie chcą psuć sobie wakacji, nie orientują się, że Dublin to nie Belfast, tu nie strzelają z za węgla i nie podkładają bomb (raz tylko wysadzili w powietrze pomnik Nelsona, a raz...).

„Wiem, trzeba pomagać uchodźcom z sześciu hrabstw, ale my przecież sami dopiero dorabiamy się, jeszcze nam nie za lekko, chcemy mieć święty spokój“, powiedziała sprzedawczyni w sklepie, w którym czekałam na natychmiastową poprawkę kostiumu, z ręcznie tkanego irlandzkiego tweedu. Tych uchodźców z Półn. Irlandii jest wszystkiego ok. 3000.

Dublin to ładne miasto — 800.000 mieszkańców, — przecięte przez rzekę, z szerokimi ulicami, obudowanymi starymi georgiańskimi domami. Morze z jednej strony, zalesione góry z drugiej. Kilku irlandzkich milionerów, coraz liczniejsza średnia klasa, jeszcze dużo biedy. Bardzo piękne i bogate Narodowe Muzeum z fundacji G. B. Shaw, kilka innych muzeów i galerii. Dwa uniwersytety, a w jednym z nich, Trinity College — słynny Manuskrypt z Kells, cudownie iluminowany. Biblioteka Narodowa, zaopatrzona we wszystkie książki dotyczące Irlandii. Pełno zawsze pełnych pubów, kawiarenek i restauracyjek (dużo należy do wielkich angielskich firm jak Fortes czy Wimpy). Celtycka biżuteria, Connemara marmur, irlandzkie wyroby rękodzielnicze, płótna, tweedy, kryształ, rybackie swetry, wyroby ze srebra. Kiedy sobie przypominałam, jakie stosunkowo brzydkie i nieliczne były wyroby kanadyjskie w przebogatej Kanadzie, byłam chapeau bas wobec zręczności, gustu i pracowitości Irlandczyków. W parku w śródmieściu, w którym witają spacerowiczów Trzy Parki z brązu ufundowane przez Zachodnie Niemcy w dowód „wdzięczności za pomoc okazaną po II-iej Wojnie światowej“, na okrągłym podium pod dachem tańczą ludowe tańce, śpiewają sentymentalne i patriotyczne ludowe piosenki. Rozłożeni na leżakach i na trawie turyści i dublinianie oklaskują występy z entuzjazmem. Dużo ulicznych sprzedawców owoców 1

kwiatów. Tu i tam spotkasz pijaków, którzy wielkim głosem wyśpiewują antyangielskie piosenki. Wszelkie przejawy pornografii i permissive society — surowo wzbronione: nie znajdziesz w Dublinie „porno“ w żadnej postaci. Tym niemniej indoktrynowana w podziwie dla bohaterów niepodległości młodzież nudzi się. Nieliczni wstępują do IRA, niektórzy obierają awanturniczą drogę Robin Hoodów ograbując banki, wielu emigruje w poszukiwaniu bardziej zielonych pól, albo może większych szans czy większej swobody, nie skrępowanej zakazami i nakazami, żyjących przeszłością dziadków. Reszta rozbudowuje Irlandię, jak na razie wcale nieźle.

Zmęczona galopującymi problemami obu Irlandii chciałam odpocząć chociaż językowo przy bardziej statycznych problemach polskiej emigracji. W nadziei, że odkryję jakiś dubliński duplikat „Ogniska“, udałam się na ulicę O'Connell (naturalnie!), do Ośrodka Turystyki. Przepchałam się przez tłumek zrzedzących na postponowanie dolara Amerykanów i spytałam urzędniczkę o adres polskich instytucji emigracyjnych. Polish? Nie ma, oświadczyła kategorycznie urzędniczka, zajrzawszy do książki telefonicznej, co już uprzednio zrobiłam na własną rękę, bez skutku. Może chcę węgierskie albo rosyjskie, zaproponowała. Odmówiłam, sugerując Irlandzkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, albo ojców jezuitów.

Urzędniczka wezwała do pomocy starszą koleżankę o rudych włosach spadających w niesfornych kosmykach na wysokie czoło, o brązowych roześmianych oczach. Ruda zabrała się do dzieła z wytrwałością i uporem, obdzwanając różne urzędy, kościoły, a nawet szereg prywatnych znajomych. Ani słyhu ani widu. Chciałam już zrezygnować, ale nie Ruda. „Wiem!“, stuknęła się w czoło z nieukrywaną radością, „przyjaciółka mojej przyjaciółki wyszła za mąż za Polaka, podobno wspaniały mężczyzna, i bardzo przystojny, you know“. Od przyjaciółki dotarła do p. Jana Kamińskiego, zdobywając tym wyczynem wydajności mój głęboki szacunek zarówno dla niej samej jak i dla Irlandzkiego Ośrodka Turystyki, który przy takich urząd-

niczках nie zginię Unia czy nie Unia.

P. Jan Kamiński całkowicie usprawiedliwił opinię mego Rudego Anioła. Lat 35, rzeczywicie przystojny, uosobienie witalności i przedsiębiorczości. Urodzony w r. 1933 w pamiętnym wrześniu 1939 stracił ojca, zawodowego oficera W. P. W dalszych latach wojny stracił matkę, a także dwie siostry i brata, którzy „zgulili się“. W r. 1944 jedenastoletniego wówczas chłopca zaadoptował jako maskotkę 21-y pułk artylerii w armii Żymierskiego. Z Ziemi Odzyskanych przeszedł Janek z grupą żołnierzy do Niemiec. W tym okresie II Korpus W. P. przeprowadzał akcje ratowania polskich dzieci z Niemiec, i w ramach „skleconej“ żołnierskiej rodziny wysłał Jana do Włoch, do Ankony, a potem do Grottamare. Rok później, już jako junak, Jan przyjechał do Londynu, z walizką szmuglowanych pończoch, jak to było w modzie. Wojskowym sierotą zaopiekowała się p. Sarnowska-Jordanowska z IMKI, posyłając go do szkoły w Pearley, a potem do gimnazjum polskiego w Edynburgu. Z gimnazjum przeszedł Jan do Technicznej Szkoły koło Nottingham, a potem zaczął zarobkować, biorąc się do różnych robót, w fabrykach i gdzie popadło.

Zarówno środowisko, w którym się znalazł, jak i rodzaj pracy nie odpowiadały zdolnemu i ambitnemu młodzieńcowi. Wrócił więc do Londynu, gdzie w dzień zarabiał na życie, a wieczorem uczył się na kursach w Regent Polytechnic. Tak zdobył angielską maturę. Otrzymał wówczas stypendium Veritatu na studia uniwersyteckie w Dublinie, gdzie w Trinity College wstąpił na Wydział Ekonomii.

„Na uniwersytecie wyżywałem się w życiu akademickim i w pracy społecznej. W r. 1956 zostałem wybrany wiceprezesem Koła Polskich Studentów, których było wówczas około 150, przeważnie żołnierze II Korpusu, studiujący medycynę, w młodszym i starszym wieku. Byłem także redaktorem uniwersyteckiej gazetki, w której między innymi toczyła się ożywiona dyskusja na temat bomby atomowej. Studenci popierali na ogół produkcję bomby atomowej, wychodząc z realistycznego założenia, że

kiedy Wschód zbroi się bez przerwy, Zachód nie może rozbrajać się.“

Po uzyskaniu dyplomu ekonomii p. Kamiński pracował przez trzy lata przy komputerach w I.C.M., następnie zaś, za pożyczone 2000 funtów plus 50 funtów własnych oszczędności kupił zbankrutowaną restaurację, którą w krótkim czasie postawił na nogi dzięki polskim przysmakom, a specjalnie sztuce mięsa, która była jego piece de resistance. Oprócz tej restauracji prowadził nocny klub o nazwie „Trójka“, który także cieszył się powodzeniem.

Zawód restauratora szybko znudził się p. Kamińskiemu: temperamentowi jego nie odpowiada rutyna, lubi budować nowe rzeczy, organizować. Skorzystał więc z okazji, że dom, w którym znajdowała się restauracja, wystawiono na sprzedaż i kupił go. „Jestem kamienicznikiem z przypadku“, uśmiecha się p. Kamiński, który wydzierżawił restaurację, aby założyć szkołę języka angielskiego dla cudzoziemców, oraz Biuro Podróży „Concorde“. Mam wrażenie, że rodzaj tych dwóch przedsięwzięć i ich implikacje miały stanowić dla sieroty-tułacza, świadomie albo podświadomie, okno na szeroki świat, albo może — furtkę do Polski.

„Staram się na własną rękę utrzymać więź z polskością, ale w Irlandii to nieomal beznadziejne. Dla przykładu opowiem o moich staraniach, żeby sprowadzić grupę polskich au pair dziewcząt. Byłem w tym osobiście zainteresowany, chciałem bowiem, aby moje dzieci, których matka jest Irlandką, znały język polski i polskie tradycje. Po trzech programach w Radio Wolna Europa na temat mojej szkoły języka angielskiego, otrzymałem z Polski 200 listów z prośbą o pomoc w załatwieniu formalności umożliwienie przyjazdu i nauki. Przeprowadziłem kampanię wśród znajomych Irlandczyków, którzy zgodzili się wysłać zaproszenie do tych Polaków, obowiązuje się zatrudnić dziewczęta jako au pair, a mężczyźni jako robotników rolnych. Przed tym trzeba było jednak uzyskać oficjalne pozwolenia pracy. Chłopcom odmówiono z miejsca, sprawa dziewcząt trwała dłużej, ale mimo usilnych starań — i im w końcu odmówiono. Irlandia

nie jest zainteresowana w przyjeździe Polaków jako turystów czy na naukę, obawiają się bowiem, że to potencjalni emigranci.“

Dlaczego nie mogłam znaleźć żadnego śladu Polonii w Dublinie, czyżby był jedynym Polakiem?, pytam p. Kamińskiego.

„No nie, jest tu obecnie około 100 Polaków, ale rozproszeni i niezorganizowani, większość pożeniła się z Irlandkami. Ostatnie większe zebranie irlandzkiej Polonii odbyło się w r. 1968 z okazji 3-go Maja. Istniał jeszcze wówczas Związek Studentów Polskich, towarzysko-samopomocowy, spotykaliśmy się, studenci i absolwenci, w Ambasadzie R.P., póki nie zlikwidowała się z braku obsady (1963), a potem w różnych kawiarniach czy w mojej restauracji. Planowaliśmy stworzenie Towarzystwa Przyjaźni Irlandzko-Polskiej, ale kilku dobrze zakotwiczonych panów sprzeciwiło się temu. Byli to Polacy, którzy czują się tubylcami polskiego pochodzenia, a nie emigrantami. Z powodu uporu czy oporów tych kilku oportunistów mamy b. mały kontakt ze sprawami polskimi, nie mamy polskiego księdza, nie możemy uczyć dzieci mowy ojczystej, jesteśmy odcięci od wszelkich przejawów polskiej kultury. Często nie wiemy, kiedy przyjeżdżają Polacy, czy będą to artyści z występami, czy drużyny sportowe.“

Jaki jest stosunek Irlandczyków do Polski i do Polaków?

„Większość Irlandczyków nie bardzo orientuje się w obecnej sytuacji. Kościół i opinia publiczna w Irlandii są zdecydowanie antykomunistyczne, ale ich stosunek do Niemców jest schizofreniczny i dlatego nie rozumieli i prawdopodobnie nie rozumieją konfliktu Polski z Niemcami. Podczas II-ej Wojny Światowej, a jeszcze bardziej podczas I-ej, Irlandia popierała oficjalnie Niemców, jako wrogów Anglii, tym niemniej zachowała neutralność i w gruncie rzeczy nieoficjalne sympatie Irlandczyków były zawsze po stronie Aliantów, o czym najlepiej świadczyła duża ilość Irlandczyków w wojsku angielskim. Dla Polski i dla Polaków mają dużo przyjaźni, jako dla kraju katolickiego, który cierpiał pod obcym butem tak jak oni. Często

porównują losy Irlandii z losami Polski, wiedzą o Matce Boskiej Częstochowskiej, żona Polaka hr. Markiewicza, jest ich bohaterką narodową.“

Przerywam w tym miejscu p. Kamińskiemu, aby „wrócić“ do Niemców i spytać o intrygującą mnie sprawę szyldu „Pralnia pod Swastyką“, który widziałam na jednej z handlowych ulic Dublina i na kilku ciężarowych samochodach.

P. Kamiński uśmiecha się, nie jestem pierwszą, która pyta o to. „Irlandczycy tłumaczą, że znak swastyki to hinduski symbol siły i niezależności. „Swastika Laundry“ istnieje od początku XX-go wieku i, zdaniem Irlandczyków, Hitler „zweździł“ ten symbol od nich dla własnych celów, po czym „za karę“ dostał „laundry“ czyli brudną bieliznę.“

„Nie, nie ma w Irlandii ambasady PRL. Przyczyną tego jest nie tylko irlandzki antykomunizm, ale przede wszystkim względy oszczędnościowe. Irlandczycy uznali przeszło 200 państw, ale utrzymują stosunki dyplomatyczne tylko z 40-50, z tymi mianowicie, z którymi mają rozległe stosunki handlowe, które są im tak czy inaczej p o t r z e b n e.“

Na zakończenie, jak zawsze niedyskretna, zadaję p. Kamińskiemu kilka bardziej osobistych pytań.

„Mimo, że mam żonę Irlandkę i jestem zupełnie dobrze zaaklimatyzowany w Irlandii, czuję się Polakiem i uważam Polskę za swoją ojczyznę. Nie wróciłbym do Polski, nie odpowiada mi obecny ustrój, lubię prywatną inicjatywę. Pod niektórymi względami Irlandia jest dla mnie, jakby to wyrazić, za cicha, życie jest tu za bardzo uregulowane; czuję się tu odcięty zarówno od spraw polskich, jak i od spraw wielkiego świata, toteż dzięki memu Biuru Podróży jeżdżę na weekendy do Europy, gdzie w środowisku politycznej emigracji mogę wyżywać się duchowo. Nie wykluczone, że mimo silnych więzów materialnych i rodzinnych, jakie łączą mnie z Irlandią, przeniosę się do Londynu.“

„Jakieś dwa lata temu zaproponowałem Związkowi Kombatantów w Londynie aby stworzyć w Dublinie Ośrodek Polski ale do tej pory nie otrzymałem odpowiedzi na moją propozycję. To skandal, że z powodu

kilku ludzi źle woli wszystkie nasze plany w Irlandii spaliły się na panewce. Aby stworzyć Polski Ośrodek tutaj potrzebna jest inicjatywa, czas i administracja, ale wszelkie inwestycje opłaciłyby się. Realizacja Ośrodka Polskiego w Dublinie byłaby nie tylko atutem z punktu widzenia ideowego i politycznego, ale stanowiłaby także dobry interes dla Związku Polskich Kombatantów i „szyld“ dla polskiej emigracji. Jako dowód, że święcie wierzę w to, co mówię, jestem gotów inwestować pieniądze w Ośrodek i przystąpić do spółki ze Związkiem Kombatantów.“

Mina Tomkiewicz

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmogoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z żywicodajnych gruczołów zwierzęcych

K A L E F L U I D

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena 90 p., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

Tajemnicze plenum KC PZPR

BEZPOŚREDNIO po objęciu władzy pierwszego sekretarza KC. PZPR. w dniu 20-tym grudnia ub.r., Gierek oświadczył: „...obowiązkiem kierownictwa partii i rządu jest udzielić partii i narodowi (najpierw partia, dopiero potem naród) pełnej odpowiedzi na szereg pytań, wynikających z powstałej sytuacji... będzie to odpowiedź trudna i samokrytyczna. Ale będzie jasna i prawdziwa“. Ponieważ kłamstwo jest wbudowane w system rządów komunistycznych, tedy z góry można było przewidzieć, że Gierek nigdy nie miał zamiaru powiedzenia prawdy w odniesieniu do tragedii Wybrzeża, ani też w jakiegokolwiek sprawie, związanej z bytem i losem Narodu. Udowodnienie tej prawdy nie nasuwa żadnych trudności. Po pierwsze od dawna nic nie słyszeliśmy o Janiurku, który, po przyjeździe Gierka do władzy powołany ze stanowiska ambasadora PRL w Pradze na stanowisko rzecznika rządowego, miał dokładnie informować społeczeństwo o wszystkich poczynaniach rządu. Po drugie generalnym nadzorcą środków masowego przekazu i literatury jest w dalszym ciągu jeden z najbardziej zakłamanych ludzi w naczelnych władzach partyjnych PZPR, znany zamordysta, stalinowiec i wierny sługa Moczara, dopóki ten był u władzy, Olszowski. Już sama jego obecność w naczelnych władzach partii podkopuje autorytet Gierka i wzbudza daleko idącą wątpliwość co do jego zamiarów na przyszłość. Do klasycznych manipulacji Olszowskiego należy zaliczyć sprawę VIII-go Plenum KC. i wydanie „Nowych Dróg“, zawierających materiały z obrad owego Plenum. Siedząc bardzo długo nad ocenianiem szeregu przemówień, obiecywał że numer „Nowych Dróg“ ukaże się wkrótce i że będzie do nabycia w księgarniach i kioskach. Tymczasem stało się zupełnie co innego. Owszem, numer „Nowych Dróg“ wyszedł, ale ponumerowane egzemplarze tego kwartalnika zostały doręczone za pokwitowaniem tylko wysoko postawionym dygnitarzom par-

tyjnym, a szerokie koła społeczeństwa nie mają zielonego pojęcia o treści uchwał wspomnianego Plenum, ani też o tym, jakie, zdaniem członków KC., były przyczyny katastrofy grudniowej. Mimo to w prasie krajowej stale ukazują się wzmianki o tym, z jakim to „entuzjazmem i aprobatą“ przyjęły szerokie warstwy społeczeństwa uchwały VII Plenum. Dalej kłamstwa i cynizmu partia już posunąć nie może.

Dla większego uwypuklenia zakłamania partii warto nadmienić, że dnia 11-go lutego członek BP i sekretarz KC., Jan Szydłak zapowiedział wydanie pełnego sprawozdania obrad VIII-go Plenum, obejmującego od 500 do 600 stron i zawierającego, według jego obliczeń, 101 przemówień. Kiedy jednakże specjalny numer „Nowych Dróg“ opuścił wreszcie drukarnię zawierał tylko 368 stron i teksty tylko 93 wystąpienia. Ciężka cenzura dokonała trójka, złożona ze wspomnianego już Olszowskiego oraz kierownika Biura Prasy Wiesława Beka i kierownika Wydziału Propagandy i Agitacji KC — Tadeusza Wyrebiaka.

Jest oczywistym niepodobieństwem omówienie materiału, zawartego w 368 stronach „Nowych Dróg“, tedy z konieczności ograniczymy się do uwag ogólnych i przytoczenia niektórych fragmentów wypowiedzi ważniejszych osobistości KC. Na wstępie warto przytoczyć fragmenty przemówienia Cyrankiewicza, który, przeważnie jako premier, był w rządzie PRL przez 25 lat. Przypomnijmy, że ów „socjalista“ po wypadkach poznańskich 1956 roku w swoim przemówieniu zapowiedział, że „każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej niech będzie pewien, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej.“

Cóż ów wieloletni szef rządu „socjalistycznego“ miał do powiedzenia na VIII Plenum? Oto niektóre z jego wypowiedzi: „Wydarzenia grudniowe stanowiły nieuchronne następstwa takiego rozwoju sytuacji w kierownictwie partyjnym, że nastąpił

prawie pełny paraliż kolegalności... Istniał paraliż kolegalności przy równoczesnym forsowaniu decyzji nie liczących się prawie z nikim i z niczym, woluntarystycznych, wodzowskich, nieomylnych, nie opartych na dyskusji, ani opinii ekspertów, wymuszonych od strony formalnej na kolektywach, apodyktycznych przede wszystkim w stosunku do potrzeb społecznych. I w tej właśnie dziedzinie dziś skumulowały się takich decyzji skutki... Czy posunięcia zasadnicze można było zmienić, czy można było oddziaływać, perswadować? W większym gronie było to niemożliwe, bo pobudzało się egzotyczną wrażliwość towarzysza Gomulki, naruszało jego poczucie autorytetu, rzekomo zachwiane wyrażeniem innego zdania. Prowadziło to do awantur prestiżowych albo, co gorsza, gdy chodziło o tę właśnie kategorię spraw, do zarzutu szukania popularności... Parę lat temu jeden z moich rozmówców, wybitny ekonomista, dzieląc się w zaufaniu troską o perspektywy kraju, wręczył mi opracowany przez siebie obszerny memoriał o sytuacji ekonomicznej. Uznałem ten materiał za na tyle interesujący i dający tak wiele do myślenia, także reprezentujący opinię naszego środowiska, że wręczyłem go tow. Gomulce z uwagą, że wart jest przeczytania. Po paru dniach tow. Gomulka apodyktycznie odrzucił dokument i zażądał wyrzucenia autora ze stanowisk. „Tu wychodzi, jak szydło z worka, co prymityw typu Gomulki, mógł robić z wybitnymi ekonomistami. Mógł to robić tylko dlatego, że służył wiernie Moskwie i mógł na niej polegać... do czasu.“

Dalszy łabędzi śpiew Cyrankiewicza brzmiał: Nie wchodziły w grę żadne perswazyje. Odwrotnie, rząd i ja osobiście byłem ostro i brutalnie atakowany... Także poniżanie rządu i jego reprezentantów było oczywiście pożywką dla działalności tow. Jaszczuka, który w czasie rozmów lub konferencji z wyzwanymi do siebie członkami rządu w sposób całkowicie niewybredny rząd ten ponie-

wierał, deprecjonował, obrażał, poniżał ministrów, nie mówiąc już o zwykłych urzędnikach.“

W ten sposób Cyrankiewicz potwierdził w całej rozciągłości to, o czym Emigracja wiedziała od samego początku istnienia PRL, a mianowicie, że w żadnym państwie komunistycznym rząd w pojęciu prawa konstytucyjnego nigdy nie istniał; a takie wyrazy, jak „premier, rada ministrów, rząd i ministrowie“, są zwykłym kamuflażem, służącym do zamydlenia oczu opinii publicznej. W rzeczywistości, owi ministrowie, których mógł wzywać i bezceremonialnie rugać funkcjonariusz partii, byli i są starszymi referentami, a co najwyżej podsekretarzami stanu, stosującymi się ściśle do zarządzeń partii. Toteż fakt, że niektórzy publicyści używają określenia „czynniki partyjno-rządowe“ wywołuje we mnie zdziwienie, a ponadto używanie tego terminu dowodzi słabej orientacji w stosunkach, jakie istnieją w dzisiejszej Polsce. Bo przecież z przemówienia Cyrankiewicza wynika zupełnie niedwuznacznie, że żaden tzw. minister nie wyda zarządzenia bez uprzedniej aprobaty któregoś z członków Biura Politycznego. A więc partia komunistyczna, a raczej jej Biuro Polityczne jest odpowiedzialne za wszystko, co się w Polsce dzieje.

Z kolei należałoby się przyjrzeć, jak wygląda sama partia o której środki masowego przekazu stale głoszą, że składa się ona z ludzi wiernych, przepojonych ideałami tej partii i że są zdyscyplinowani. Ale Kliszko, główny ideolog partyjny za czasów Gomułki i jego prawa ręka, na omawianym Plenum powiedział, co następuje: „Dlaczego najtrudniej na Wybrzeżu było w stocznjach gdańskiej i szczecińskiej?... Chciałem powiedzieć, że tu właśnie okazała się jakaś nasza ogromna słabość, której właściwie nikt z nas nie przewidywał, mianowicie, że już pierwszego dnia, to jest 14-go grudnia, ta wielka organizacja partyjna stoczni gdańskiej, licząca ponad 3.000 członków i kandydatów, przestała istnieć. rozplynęła się w masie.“

Tak oto wygląda naprawdę w dalszym ciągu owa zwartość i zdyscyplinowanie partii komunistycznej w Polsce. Gdyby Kliszko nie polegał na raportach policyjnych, lecz na bez-

pośrednim kontakcie z ludźmi pracy, gdyby zezwolił na swobodniejsze wypowiadanie się opinii publicznej, to nie byłby zaskoczony tym, co się stało z gdańską organizacją partyjną i nie wypowiadałby tak naiwnych uwag. Na tle tego faktu można bezbłędnie wnioskować, że w podobnej sytuacji organizacja partyjna rozpadłaby się momentalnie w każdym innym mieście w Polsce.

Przypomnijmy, że cały cykl wydarzeń został zapoczątkowany, a raczej sprowokowany zarządzeniem Politbiura z dnia 12-go grudnia ub. r. o podwyżce cen żywności. Ocena wydarzeń grudniowych obecnego Biura Politycznego stwierdza: „Nie potraktowano licznych sygnałów o negatywnym przyjęciu przez organizacje partyjne listu Biura Politycznego z 12 grudnia 1970 roku jako poważnego ostrzeżenia o możliwości wybuchu ostrego konfliktu politycznego i społecznego, zbagatelizowano przebieg zebrań partyjnych, zlekceważono niepokoje członków partii, aktywu i terenowych instancji partyjnych, przechodząc nad nimi do porządku dziennego.“ Również ciekawy moment wnosi A. Karkoszka, który mówi na VIII Plenum, co następuje: „Bardzo niekorzystnie zaciążył też brak zaufania do aktywu i członków partii, który znalazł wyraz w czytaniu listu dopiero w późnych godzinach popołudniowych w sobotę, dnia 12 grudnia.“

Czytając dalej materiały Biura Politycznego, natrafiamy na zupełnie zdumiewające zdanie na temat zachowania się Gomułki. Zdanie to brzmi: „Nawet wówczas, gdy załoga stoczni gdańskiej wyszła na ulicę, gdy bieg wydarzeń wskazywał na możliwość konfliktu w formie najostrejszej i brzemiennej w poważne niebezpieczeństwo dla Kraju, pierwszy sekretarz KC nie uznał za stosowne poinformować o powstałej sytuacji obradującego w tym dniu Komitetu Centralnego.“

Jedną z czołowych osobistości partyjnego Olimpu, Włodzimierz Sokorski mówi: „Demobilizacja aktywu partyjnego przybrała wreszcie tak tragiczną postać, że na VI Plenum, nawet w obliczu demonstracji w Gdańsku wysłuchaliśmy w milczeniu, choć ze ściśniętym sercem, oderwanego od rzeczywistości prze-

mówienia pierwszego sekretarza i dopiero w kuluarach, przy wyjściu zaczęliśmy rozumieć co się stało.“ Tu mamy możliwość podziwiania „błyskotliwości“ umysłu jednego z prominentów partyjnych, który słuchał bzdury Gomułki „ze ściśniętym sercem“, ale jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tragicznej sytuacji i dopiero przy wyjściu zrozumiał, że jest bardzo źle. Tacy ludzie biorą czynny udział w kształtowaniu rzeczywistości w PRL. Nic tedy dziwnego, że sytuacja w Kraju wygląda ciągle bardzo źle, a dominującą cechą tej sytuacji jest stagnacja, zupełny immobilizm, co w końcu musi doprowadzić do nowego krótkiego śpięcia.

W momencie ukazania się „Orła Białego“ będziemy bardzo bliscy rocznicy brutalnej rozprawy z robotnikami Wybrzeża i objęcia władzy przez Gierka. Ale dotychczas nie ma żadnych oznak zmiany na lepsze. W tej chwili Gierek zajęty jest przede wszystkim przetasowaniem kart, obsadzając różne stanowiska swoimi ludźmi, natomiast dotychczas nie wystąpił z żadnym programem, który by dawał jakieś nadzieje na przyszłość. Gierek przypuszczalnie zdaje sobie sprawę z faktu, że w oczach społeczeństwa nie uchodzi za człowieka, który mógłby oderwać się od sowieckiego modelu gospodarczego i starać się nie o nową małą stabilizację, lecz o prawdziwą odnowę. Dlatego całe społeczeństwo odnosi się z nieufnością do nowych właścicieli Polski Ludowej i przyjęło postawę bierną, wyrażającą się w krążącym po całej Polsce powiedzeniu: „Poczekamy, zobaczymy“.

M. Wyrwicz



SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. 01 - 228 0879

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA**

TRZEBA WIĘCEJ WIARY NIŻ ROZUMU

CZYTANIE i analiza statystyki „Polski Ludowej“ doprowadza czytelnika do beznadziejności a nawet rozpacz. Chce się dowiedzieć czegoś o rozwoju ojczyzostego kraju (zew krwi i ciekawość ludzka), a tu się czyta niewiarogodne i nieprawdopodobne rzeczy jak z zaczarowanej krainy. Jednakże trzeba to robić: nie wszystko można ukryć i zataić, a ponadto im więcej się kłamie tym w większe popada się sprzeczności i tu i ówdzie coś wiarogodnego wypłynie na wierzch. Kłamca musi mieć dobrą pamięć, a traktując i analizując materiał statystyczny na prawie 600 dużego formatu stronach drobnego druku zawiedzie nawet najlepsza pamięć. Ponadto niekiedy nawet w krótkich opracowaniach i artykułach coś zbliżonego do prawdy można znaleźć.

Np. prasa krajowa i wywody w czasopismach zawodowych dają do zrozumienia, że w przedwojennej Polsce przemysł prawie nie istniał. Dopiero po wojnie dzięki geniuszowi jej przesiąkniętych marksizmem i leninizmem sfer kierowniczych i partyjnych, oraz „bratniej“ pomocy Rosji kraj nasz osiągnął wysoki poziom uprzemysłowienia, prawie podwajając ilość ludności miejskiej. Wbrew temu twierdzeniu z górą rok temu wypsnęło się jednemu z czasopism krajowych, że obecnie jest używanych około 60% przedwojennych maszyn. Uwzględniając wynalazczość i postęp w produkcji maszyn oraz zużycie ich w ciągu tak długiego czasu świadczy to o tragicznym i beznadziejnym stanie uprzemysłowienia kraju oraz jego poziomie pod względem technicznym. W każdym razie można być pewnym, że tych starych i przestarzałych gratów jest nie mniej niż 60%, gdyż nie ma tu czym chwalić się.

LUDNOŚĆ MIEJSKA

Polscy bolszewicy stosują niezmiernie nieszczerą, podstępą i perfidną taktykę przy porównywaniu stanu przedwojennej Polski z obec-

nym jej stanem pod każdym względem. Po ostatniej wojnie Rosja zagarnęła prawie połowę przedwojennego terytorium Polski z około 12 milionami ludności. W drugiej połowie kraju zamieszkiwało w tym czasie około 24 miliony ludzi, czyli zagęszczenie ludności było tam prawie dwukrotnie większe. Fakt, że obszar uprawnej ziemi i rozdrobnienie własności ziemskiej w obu częściach niewiele się różniły świadczy, iż w części, która przypadła Polsce „ludowej“ ludność miejska stanowiła znacznie większy odsetek mieszkańców tych terenów.

W centralnej i zachodniej Polsce znajdował się wysoce uprzemysłowiony Śląsk, stanowiący faktycznie jeden olbrzymi konglomerat miejski, oraz były takie miasta jak Warszawa, Łódź, Kraków, Poznań, Lublin, Gdynia, Częstochowa i wiele innych ośrodków miejskich, a na Kresach Wschodnich tylko Wilno i Lwów były godne nazwy wielkich miast. Inne ośrodki miejskie były raczej dużymi miasteczkami, w dodatku bez przemysłu. W największym z nich Brześciu n/Bugiem mieszkało tylko około 50 tysięcy ludzi. W województwie wileńskim tylko Wilno miało więcej niż 10 tysięcy mieszkańców. Ponadto na ziemiach odzyskanych są tak wielkie miasta jak Wrocław, Gdańsk, Szczecin i liczne inne pomniejsze. Przesunięcie więc Polski na zachód z konieczności i bez czyjej zasługi przyczyniło się do powiększenia się procentu ludności miejskiej.

Zgodnie z powyższym spis ludności z 1931 r. wykazując 27% ludności miejskiej dla całej Polski stwierdził, że w województwach zachodnich było jej 36%, a we wschodnich tylko 14%.

W 1931 r. było w Polsce prawie 9 milionów ludności miejskiej. W latach 1921-31 średni przyrost ludności miejskiej wynosił prawie 3%, czyli około 270 tysięcy rocznie, a wiejskiej tylko 1,2%, przy dużo większej jej rozrodzności. Uwzględniając więc progresję wzrostu i licząc skromnie i ostrożnie należy

przyjąć, że w 1939 r. było około 12 milionów ludności miejskiej na 34,5 milionów ogółu mieszkańców Polski, czyli około 34%. Ze względu na to, że w latach 1921-31 na terenach zagarniętych przez Rosję przyrost ludności miejskiej wynosił przeciętnie tylko około 40 tysięcy rocznie lwia część przyrostu przypadła na ziemię, które są obecnie w granicach PRL.

Powyższe dane nasuwają wniosek, że w 1939 r. było na terenie obecnej Polski nieco mniej niż 5% ludności miejskiej.

Rocznik podaje, że obecnie w Polsce mieszkańcy miast wynoszą 51,5% ogółu ludności. Po upływie 26 lat rządów bolszewickich jest to bardzo nizerne osiągnięcie. Na podstawie powyższych danych i pod warunkiem, że ta sama tendencja wzrostu ludności miejskiej utrzymałaby się przez tych 26 lat, można sobie wyobrazić jaki dziś byłby stan rzeczy w tym względzie gdyby do dnia dzisiejszego istniała „kapitalistyczna“ Polska. Sytuacja jednak jest zgoła inna. W świecie niebolszewickim pęd do miast jest obecnie kolosalnie większy niż był przed wojną. Ten prąd na pewno nie ominąłby Polski.

Wprawdzie Niemcy wymordowali około 3 milionów Żydów, którzy przeważnie mieszkali w miastach, ale więcej niż połowa ich mieszkała na ziemiach zagarniętych przez Rosję. W byłym zaborze pruskim prawie ich nie było, a we wschodniej połowie Polski aż roilo się od miejscowych Żydów i napędzonych przez Rosjan tzw. Litwaków. Ten brak około miliona Żydów w miastach PRL (dużo ich mieszkało w miasteczkach i na wsi) niewiele zaważył na obecnej sytuacji w tej dziedzinie.

SPOŻYCIE

Znaną jest powszechnie rzeczą, że stopa życiowa i poziom bogactwa narodowego Szwecji są najwyższe w Europie. Pod tym względem Szwecja ustępuje tylko Ameryce, czyli jest na drugim miejscu w świecie. Mimo to według Rocznika polska stopa życiowa nie ustępuje

szwedzkiej, a może nawet jest wyższa.

Polacy według Rocznika spożywają tę samą ilość mięsa (53 kg. rocznie), o jedną trzecią mniej tłuszczów, prawie tę samą ilość cukru i jaj, więcej mleka. Z drugiej strony Szwedzi spożywają dwukrotnie mniej zboża, ziemniaków itp. Po przeliczeniu na kalorie wypadłoby, że Polacy spożywają na głowę ludności więcej niż Szwedzi i chyba mało mniej niż Amerykanie.

To samo z grubsza dotyczy zaopatrzenia ludności w tkaniny, obuwie i inne artykuły konsumpcyjne.

Gdyby dać wiarę Rocznikowi trudno zrozumieć dlaczego Szwedzi, nawet zakładając, że ich stopa życiowa jest z grubsza na poziomie polskiej, nie wychodzą na ulice i nie krzyczą jak Polacy „chleba i wolności“, paląc budynki rządowe i partyjne, co zmusza władze bezpieczeństwa w Polsce do masakrowania ich w nierównej walce przy użyciu nowoczesnej broni.

Z drugiej strony gdyby tak było jak podaje Rocznik, przebywający w Szwecji polscy uchodźcy nie wysyłaliby swym krewnym w Polsce żywności i „ciuchów“, co jest tam rozchwytywane po wygórowanych cenach z powodu braku tego rodzaju artykułów w sklepach. Należałoby raczej oczekiwać zjawiska odwrotnego, tj. pomocy dla nich od rodaków z kraju, zwłaszcza że uchodźcy z reguły należą do kategorii najbiedniejszych ludzi kraju, który udzielił im azylu i gościny.

Z powyższego widać, że niewątpliwie dane statystyczne są fałszywe i, że statystyką nie można nakarmić i przyodziać ludzi.

Nie darowali też macherzy, którzy spreparowali Rocznik, przedwojennej statystyce polskiej. Ujęli 5 kg. spożycia mięsa, 2 kg. cukru na głowę ludności rocznie itd., chociaż nawet gdyby nie sfalszowali danych statystycznych, nie byłyby to dokładny obraz tej połowy przedwojennej Polski, która weszła w skład PRL. Np. spożycie cukru w 1937 r. w województwach wschodnich wynosiło 6,1 kg. na głowę ludności rocznie, a w województwach zachodnich aż 17,8 kg.

Według Rocznika w 1968 r. Polska wyprodukowała grubo więcej niż 2-krotnie mięsa w porównaniu z pro-

dukcją przedwojenną. Przed wojną produkcja mięsa wynosiła około 20 kg. na jednego mieszkańca rocznie, obecnie rzekomo produkuje się ponad 66 kg. Uwzględniając fakt, że zabrana przez Rosję połowa Polski była par excellence rolnicza o doskonałej glebie na Wołyniu i Podolu oraz o bardzo rozwiniętej hodowli zwierząt na ubój (Nowogródzyna, Polesie itd.) jest to więcej niż dziwne. To samo dotyczy zboża i innych artykułów wytwarzanych przez rolnictwo.

Z drugiej strony trudno zrozumieć dlaczego przy tak olbrzymiej produkcji mięsa po buncie robotników na Wybrzeżu zaczęto je kupować zagranicą za „pożyczone“ od Rosji pieniądze.

Falsze te w warunkach bolszewickich są normalnym zjawiskiem. Nie normalne jest tylko to, że macherzy Rocznika mieli odwagę, lub pozwolono im przedstawić statystycznie, iż w Rosji („przodującym kraju na świecie“) wyrażająca się w spożyciu stopa życiowa i dobrobyt ludności są niższe niż w Polsce.

STATKI

Według Rocznika w 1969 r. Polska wyprodukowała 460,9 tys. DTW statków i nabyła zagranicą 92,550 DWT. Z tego eksportowała 421 tys. DWT: 257 tys. DWT do Rosji i 24 tys. DWT do Indii i Meksyku. Dokąd eksportowano 80 tys. DWT Rocznik nie podaje. Prawdopodobnie podarowano je jakiemuś Egipcjowi lub Wietnamowi. W tym samym roku polska flota

handlowa powiększyła się o 120 DWT, czyli głównie o statki kupione na Zachodzie. Z własnej produkcji dodano do niej tylko tylko 27,5 DWT. Możliwą jest rzeczą, że część statków nabytych za twardą walutę sprzedano Rosji za bezcen i za bezwartościowe ruble, zatrzymując więcej dla siebie z krajowej produkcji.

W tymże roku wodowano 58 statków o nośności ponad 100 DWT i wyprodukowano 102 silniki okrętowe. Jaki był import i eksport silników Rocznik nie podaje. Musiał być poważny import, albowiem przy urozmaiconej budowie okrętów niemożliwą jest rzeczą produkować wszystkie typy silników, zwłaszcza przy tak ograniczonej ich produkcji. Ponadto część silników musiała być użyta przy budowie statków poniżej 100 DWT i na zamianę zużytych w już istniejących statkach.

Bez względu na to ile są warte powyższe dane statystyczne jasne jest, że lwia część statków jest sprzedawana Rosji po niższej cenie i za bezwartościowe ruble, podczas gdy można byłoby je sprzedać na Zachodzie za twardą walutę i po cenach międzynarodowych. W dodatku w 1969 r. Polska kupiła na Zachodzie za twardą walutę statki w rozmiarze blisko jednej czwartej krajowej produkcji oraz stale importuje z Zachodu materiał na produkcję stali (ruda, węgiel koksujący, chemikalia itp.) za co również płaci twardą walutą. Dochodzi do tego materiał krajowy i praca ludzka, co też jest coś warte.

HENRYK GRUBER

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. BUG WPADA DO WISŁY — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. ANATOMIA POCZĄTKÓW — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. CZART PROWADZI BAL — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.00 plus koszt przesyłki

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

Na tym jednym odcinku stosunków z Rosją widać jak haniebnie i cynicznie nasz kraj jest wyzyskiwany przez „starszego brata“. Gdyby poddać analizie inne z nim obroty handlowe obraz byłby podobny. Np. Polska kupuje też za twardą walutę wełnę i bawełnę, a wyroby tekstylne przeważnie „sprzedaje“ Rosji.

S T A L

Podczas ostatniej wojny Anglia budując i produkując zawrotną ilość statków, czołgów, dział, samolotów, amunicji itp. wytwarzała tylko około 13 milionów ton stali rocznie. Według Rocznika w 1969 r. Polska wyprodukowała aż 11,3 miliona ton stali.

Ze względu na to, że obecna Polska w porównaniu z Anglią z okresu wojennego jest krajem b. słabo przemysłowo rozwiniętym i uwzględniając to, że nie musi zaspokajać potrzeb wojennych, a ponadto, że w naszym kraju stale jest brak gwoździ, szpilek itp. wyrobów z metali, aby w to uwierzyć trzeba mieć więcej wiary niż rozumu. Chyba, że nienasycony „starszy brat“ zabiera tę stal tak samo jak inne produkty. Z tego, że w Polsce dobrobyt i stopa życiowa są wyższe niż w Rosji — czego nie ukrywa Rocznik — widać, że to wszystko co „starszy brat“ rabuje w podbitych krajach idzie jak do dziurawego worka.

DOCHÓD NARODOWY

Według Rocznika w 1969 r. dochód narodowy w Polsce osiągnął 20,7 tys. zł. na 1 mieszkańca rocznie. Z drugiej strony przeciętne płace w tym roku były 27,5 tys. zł. rocznie. Jedna z tych liczb (a może obie) jest niewątpliwie fałszywa, albowiem na całym świecie dochód narodowy na głowę ludności jest więcej niż dwukrotnie mniejszy niż przeciętne zarobki roczne. Jest to z tego powodu, że dochód narodowy przypada na wszystkich mieszkańców kraju, a zarobki tylko na tych, którzy pracują. (Nie obejmuje dzieci, chorych, starców itp.). Ze względu na to, że statystyka dotycząca przeciętnych płac jest bardziej wiarogodna, gdyż trudniej jest ukryć stan faktyczny (ludzie wiedzą ile mniej więcej się za-

rabia), można uznać, że w 1969 r. dochód narodowy wynosił około 10 tys. złotych na głowę ludności.

Zakładając skromnie i ostrożnie, że dolar jest obecnie wart około 100 zł. wypada, że dochód narodowy w Polsce w tym czasie wynosił około 100 dolarów na 1 mieszkańca rocznie, czyli był na przeciętnym poziomie krajów gospodarczo zacofanych i niedorozwiniętych Azji i Afryki.

ISTOTA NIESZCZĘŚCIA

Nieszczęściem obecnej Polski nie jest to, że jest źle, ale to, że z biegiem czasu staje się gorzej, a w każdym razie sytuacja życiowa się nie poprawia, co doprowadza ludzi do rozpacz i w związku z tym do nieprzemysłanych i beznadziejnych aktów gwałtu, skierowanych przeciw reżymowi bolszewickiemu. Jak długo sytuacja życiowa się poprawia, chociażby bardzo wolno, ludzie są na ogół zadowoleni i bohaterko oraz z samozaparciem znoszą biedę i niedostatek. Odwrotnie jest, gdy z dnia na dzień nie widać poprawy, a nawet dzieje się gorzej.

Po pierwszej wojnie światowej sytuacja była pod każdym względem bardzo ciężka i nie lepsza niż po ostatniej wojnie. Jednakże ze względu na to, że z upływem czasu prawie niepostrzeżenie życie było łatwiej, ludzie nie okazywali jaskrawo swego niezadowolenia. Postęp w tej dziedzinie dał się wyraźnie dostrzec gdy po stabilizacji złotego można było statystycznie stwierdzić, że od tego roku do 1938 r. stopa życiowa wzrosła prawie podwójnie. Wprawdzie zarobki mało wzrosły, ale za to ceny spadły prawie o połowę, co na jedno wychodzi.

Nie zawsze było tak źle w Polsce „ludowej“ jak jest obecnie. Po ostatniej wojnie Polska dość szybko stanęła na nogi. Można znaleźć w starych rocznikach gazet angielskich liczne reportaże dziennikarzy, opisujące z zachwytem dostatecznie zaopatrzone tuż po wojnie sklepy, dobre i obficie zaopatrzone restauracje, schludnie ubranych ludzi itp.

Widząc nędzę i niedostatek w sąsiednich krajach komunistycznych większość reporterów nie mogła rozwiązać zagadki, dlaczego jest inaczej w Polsce. Niektórzy jednak z nich doszli do fałszywego wniosku, że nie

jest temu winien system lecz ludzie, gdyż w komunistycznej Polsce życie jest nie tylko znośne, lecz nawet całkiem dostatnie, w porównaniu z zubożałą Anglią, gdzie wszystko wtedy było racjonowane i dużo rzeczy brakowało. Nie dostrzegli oni jednej zasadniczej rzeczy, a mianowicie tego, że wtedy w Polsce nie było jeszcze komunizmu. Istniała bowiem w tym czasie inicjatywa prywatna, wolny handel itp., a Bierut, aby zjednać sobie ludność przed zakuciem jej w kajdany chodził do kościoła i udawał, że się modli. Istnieją z tego okresu opisy i fotografie jego występów i hipokryzji w starych rocznikach gazet i czasopism krajowych. Nie miał wtedy jeszcze tak licznej i dobrze zorganizowanej i wyszkolonej bezpieki i tajnej policji, a w lasach grasowały walczące o wolność Narodu tak zwane przez bolszewików „leśne bandy“.

Obecnie gdy Polska korzysta z błogosławieństwa systemu bolszewickiego nie pozostaje nic innego jak tylko karmić i przyodziewać ludzi statystyką.

Aleksander Stambrowski

WOLNE OD OPLAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wysył, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE
ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z
Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

BIBLIOTEKA POLSKA

W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK

KUBA PO II LATACH

W UBIEGŁYM roku pojawiła się na francuskich półkach księgarskich czwarta z rzędu książka, znanego nam już dobrze polskiego autora, K. S. Karola. Przetłumaczona na język angielski i wydana tu w b. roku, została uznana za jedną z najlepszych prac źródłowych, ilustrującą wyczerpująco sytuację polityczną i ekonomiczną Kuby w 1970 r. W sześciu obszernych rozdziałach i bogato opracowanej części chronologicznej, autor przedstawił okres 30 lat walki Kubańczyków o zrzućenie jarzma hiszpańskiego i uzyskanie niepodległości, zbrojną interwencję Ameryki, dzięki której, po klęskach na lądzie i morzu, w dniu 10 grudnia 1898 r., doszło do zawarcia układu pokojowego w Paryżu, opuszczenia wyspy przez Hiszpanów i zaszeregowania Kuby do rzędu państw suwerennych. Na życzenie Ameryki, parlament umieścił w swej Konstytucji klauzulę, gwarantującą Stanom Zjednoczonym prawo interwencji na wypadek „gdyby sytuacja tego wymagała”. W rok później amerykański gubernator wojskowy przekazał prezydentowi Estrada Palma pełną władzę, co zakończyło utrzymanie na wyspie amerykańskich sił zbrojnych, zaś Ameryka zachowała tylko prawo „mediacji”, gdyby interes nowej republiki tego wymagał. W roku 1934, po obaleniu przez Batistę rządu Grau-Guiterasa, Ameryka zrzekła się również i prawa mediacji w sprawach wewnętrznych republiki Kuby.

FIDEL CASTRO NA WIDOWNI

W dniu 26 lipca 1953 r., oddziały partyzantów, dowodzone przez podówczas 29 letniego prawnika Fidela Castro, złożone ze 120 ludzi, zaatakowały koszary w Santiago de Cuba, co miało być zapoczątkowaniem rewolucji celem obalenia dyktatorskich rządów Batisty. Powstańcy ponieśli klęskę, a ich przywódcy zostali skazani na długoletnie więzienie, między nimi Castro na 15 lat. W czasie rozprawy Castro wygłosił swoje знаmienne przemówienie zatytułowane „Historia mnie rozgrzeszy”. W r. 1955 Batista wydał amnestię, a zwolnieni wrócili triumfalnie do Hawany.

W czasie pobytu w więzieniu, Castro założył własną partię rewolucyjną pod nazwą „Ruchu 26 lipca”.

W grudniu 1966 r. statek GRANMA, wyruszył z Meksyku z załogą 82 uzbrojonych partyzantów. W czasie lądowania, załoga została zaskoczona przez wojska rządowe. Część zginęła lub wpadła do niewoli, zaś 20 ocalałych stworzyło rdzeń zbrojnego ramienia Castro. W okresie następnych trzech lat, oddziały zbrojne powstały w różnych częściach wyspy, prowadząc walki nękające wojska rządowe, głównie w miastach.

W grudniu 1958 r. cały garnizon wojsk rządowych w Santa Clara skapitulował, a Batista schronił się do republiki dominikańskiej. W dniu 1 stycznia 1959 r. partyzanci opanowali Hawanę, do której, kilka dni później, w triumfalnym pochodzie wkroczył zwycięzca Fidel Castro. W następnym miesiącu objął on stanowisko premiera, usunął pierwszego prezydenta Urrutia, a na jego miejsce zamianował Oswaldo Dorticos, który zajmuje ten urząd do dnia dzisiejszego.

PO ZWYCIĘSTWIE

Bezpośrednio po zwycięstwie, Castro, który nigdy nie taił swych radykalno-lewicowych przekonań, oraz jego najbliższy doradca Che Guevara, z urodzenia Argentyńczyk, zapewniali naród kubański, że po wywłaszczeniu kapitału amerykańskiego, który, jak twierdzili, wyzyskiwał ich kraj, Kuba wkroczy na drogę zamożnego, niezależnego państwa. Wstępny zarządzeniem, które miało zapoczątkować nowy okres, obniżył wszystkie czynsze o 50 procent, zaś w następnych miesiącach odwiedził Stany Zjednoczone i Kanadę, gdzie, w przypuszczeniu, iż mimo planowanego wywłaszczenia Ameryka zapomni straty i w dalszym ciągu pozostanie głównym importerem cukru, tytoniu i ntklu, zapewniał, że w następnych latach może dostarczyć jej osiem milionów ton cukru rocznie. W tym samym czasie, Che Guevara udał się do Egiptu, Indii, Pakistanu, Indonezji i Japonii, z którymi zawarł umowy handlowe na nieokreślone ilości

towarów, zaś Castro, dla podkreślenia swego zainteresowania losem państw Południowej Ameryki, na posiedzeniu tych państw w Buenos-Aires, wystąpił z żądaniem przyznania im w okresie następnych 10 lat pomocy gospodarczej, głównie z funduszy amerykańskich w kwocie 30 miliardów dolarów.

W lutym 1960 r. odwiedził Kubę czołowy negocjator sowiecki Mikołaj, z którym Castro zawarł umowę gospodarczą, po czym po dalszych 2 miesiącach nawiązano z Sowietami stosunki dyplomatyczne, a gdy Ameryka odmówiła przyjęcia pozostałych jeszcze 700.000 ton cukru, Sowiety wyraziły gotowość zakupienia całej pozostałej jeszcze do eksportu kwoty. W okresie 1960/61 Castro uznał Chiny komunistyczne, z którymi również zawarł umowę gospodarczą, co pociągnęło za sobą zerwanie przez Amerykę stosunków dyplomatycznych i gospodarczych z Kubą.

W kwietniu 1961 r. 1,200 uzbrojonych Kubańczyków wylądowało w tzw. „Zatoce Wieprzy”. Zaskoczony przez wojska Castro, cały oddział wpadł do niewoli. W tym samym czasie, Ameryka ogłosiła totalne „embargo” co wstrzymało całkowicie handel z Kubą.

Tymczasem Castro przeprowadził zupełne upaństwowienie przedsiębiorstw i instytucji amerykańskich, w tym 36 rafinerii cukru oraz Towarzystwa Telefonów, wartości około miliarda dolarów. Za nimi poszły banki i przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe, zaś w drodze reformy rolnej wywłaszczył właścicieli ziemi przy czym tylko przydzielił chłopom, którzy przystąpili do kooperatyw rolniczych (kołchozów), a więcej niż połowę pozostawił w administracji państwowej na wzór sowieckich sowchozów.

Na tym miejscu nie od rzeczy będzie zacytować wyjątki z przemówień Che Guevara, który w lipcu 1960 r. dziękując Sowietom za przyrzeczoną Kubie pomoc oświadczył, że „teraz nasza wspaniała wyspa, położona w samym środku Morza Karaibskiego,

RZĄDÓW FIDEL CASTRO

broniona będzie raketami największej potęgi w historii świata, czym już wtedy zdradził plany Sowietów, których zrealizowanie miało nastąpić w następnym roku. Na posiedzeniu, na którym założono tzw. „Zjednoczoną Socjalistyczną Partię Rewolucyjną“ Castro ujawnił publicznie swoje ideologiczne wyznaczenie słowami „Jestem marksistą-leninistą, i takim pozostanę do końca mego życia.“

13 DRAMATYCZNYCH DNI

Autor poświęcił cały rozdział sprawie konfliktu, który osiągnął swój szczyt w dniu 16 października 1962 r., gdy prezydent Kennedy, już od pewnego czasu śledzący budowę na Kubie przez Sowiety wyrzutni głowic nuklearnych, otrzymał od lotnictwa raport, że do brzegów Wyspy zbliżają się statki sowieckie, nakryte płachtami. Nie było żadnej wątpliwości, że pod płachtami ukryte były głowice. Toteż, bez dalszego wahania, prezydent, w przemówieniu wygłoszonym przez radio i telewizję, poinformował naród amerykański, że **Chruszczow kłamał**, gdy dał mu przyrzeczenie, iż nie będzie uzbrajać Kuby w broń ofensywną. Po zapoznaniu słuchaczy z treścią raportów, prezydent oświadczył, że jednocześnie wydał marynarce wojennej rozkaz zatrzymania, na pełnym morzu wszystkich statków i stwierdzenia ich ładunku tak długo, dopóki Sowiety nie usuną raket nuklearnych z Wyspy.

Pierwszym, który udzielił prezydentowi poparcia był generał de Gaulle, a za nim poszła cała Organizacja Państw Ameryki Południowej. A wtedy z miejsca, cała prasa sowiecka, a za nią prasa komunistyczna w świecie określiła akcje prezydenta jako „korsarstwo i głupotę zdegenerowanego imperializmu.“

W tym samym czasie u brzegów Florydy, siły amerykańskiej armii lądowej i lotnictwa czekały na rozkaz wylądowania na wyspie, którego domagała się znakomita większość narodu amerykańskiego. Prezydent

jednak przez 13 dni zachował zupełny spokój, czekając na reakcję buńczucznego Nikity. Świat stanął w obliczu nowej, tym razem nuklearnej wojny.

W dniu 26 października, jak złoziej przylapany na gorącym uczynku, Chruszczow przyznał, że istotnie zamierzał zainstalować na Wyspie wyrzutnie dla raket nuklearnych, ale pod kontrolą oficerów sowieckich i nie miały być użyte przeciw St. Zjednoczonym, oraz, że „w takiej sytuacji można by przecież się dogadać.“ W dniu 27 października Chruszczow wysłał drugi telegram, iż byłby skłonny usunąć broń ofensywną, jeśli usunie ją również Ameryka z Turcji.

Wreszcie w dniu 28 października Chruszczow wysłał trzeci telegram, w którym zapewnił, że usunie rakiety, jeśli otrzyma od niego zapewnienie, iż Ameryka nie dokona inwazji na Wyspy. Prezydent wyraził na to zgodę, zastrzegł sobie jednak prawo, przeszukania statków opuszczających wyspę celem zbadania, czy istotnie wywożą z wyspy rakiety nuklearne.

REAKCJA CASTRO

Zawarcie porozumienia ponad głową Castro wywołało na szczytach partii istną burzę. Okazało się bowiem, że Chruszczow również i ich okłamał. Na ulicach Hawany ludzie, a wśród nich i milicjanci głośno wykrzykiwali „Chruszczow pyszałek, Chruszczow blagier.“ Chcąc uspokoić masę, Castro, na jednym z posiedzeń, wypowiedział godne do zanotowania zdanie: „Nie możemy popełnić błędu po raz drugi. Gdy już raz zerwaliśmy z Ameryką, nie możemy teraz zerwać i z Sowietami.“

Sprawę usiłował znowu załagodzić sowiecki „negocjator“ Mikojan, który dla naprawienia „błędu“ Chruszczowa przesiedział w Hawanie 23 dni, i w całym tym czasie musiał połykać zarzuty podniesione w prasie i przez przywódców partii, odpowiedzialnych za rozbudowę gospodarczą Kuby. M. in. zarzucono Sowietom, że dostarczyły Kubie przestarzałe ma-

szyny i środki transportu. Wśród oskarżonych znalazła się i Polska ludowa, która dostarczyła fabrykę, produkującą konserwy. Okazało się, że fabryka musi zatrudniać 276 ludzi, podczas gdy podobna fabryka amerykańska zatrudnia tylko 25. Okazało się również, że przysłani eksperci z krajów socjalistycznych, nie mieli pojęcia o produkcji cukru z trzciny. Z „otwartymi gębami“ patrzyli na cuda techniki amerykańskiej, a w tym czasie narażali się na drwiny miejscowych techników, którzy im tłumaczyli, że maszyny zostały dostarczone 30-50 lat temu. Rzekomi eksperci od uprawy trzciny cukrowej byli, jeśli chodzi o Kubę, podobnymi ignorantami, gdyż roślina dojrzewa tam w klimacie 40 stopni Celsjusza i musi być ścinana w szybkim tempie. Nie wiedzieli oni, że w czasie dobrego lata, gdy jej łodygi napełnione słodkim płynem, nawet słaby wietrzyk przewraca i całe pola zawala, trzcinę trzeba ścinać na ziemi. Nieznany im był dalszy proces mianowicie, że ścięta trzcina musi być dostarczona do rafinerii jeszcze tego samego dnia, a płyn wygnieciony już w drugim dniu, inaczej wyparuje. A jeśli w rafinerii zdarza się awaria, wtedy trzeba natychmiast wstrzymać dalsze ścinanie. A po rewolucji i wstrzymaniu dostaw części zamiennych przez Amerykę, skąd je przysyłano samolotem w ciągu tylko kilku godzin, produkcja stale spadała. Chruszczow obiecał Castro dostarczenie maszyn dla ścinania trzciny i radził mu uprawę kukurydzy.

Dla ostatecznego załagodzenia sporu, Castro został zaproszony do Moskwy. Nadano mu wtedy, do posiadanego orderu Lenina, jeszcze i order bohatera Związku Sowieckiego i obiecano większą jeszcze pomoc. A ponieważ **Revolucion** nie przestała ogłaszać krytyki, Castro zamknął dwa główne dzienniki, a w ich miejsce uruchomił nowy, pod nazwą Granma, który obsadził oddanymi mu ślepo dziennikarzami.

DROGA DO BANKRUCTWA GOSPODARCZEGO

Trudno w ramach jednego artykułu, skorzystać z bogatego materiału statystycznego, opartego na źródłach kubańskich i sprawozda-

niach przesłanych FAO w Rzymie. Przytaczam jednak kilka, które mogą zainteresować czytelnika, a jednocześnie ujawniają brak logiki w planowaniu.

Przed rewolucją, tj. przed 1959 r. dochód Kuby z eksportu wynosił 800 milionów dolarów rocznie. Pesos kubański był równy dolarowi. Głównym artykułem eksportowym był i pozostał cukier, innymi artykułami, nikiel, tytoń, a dodatkowymi, miedź, chrom, mangan, ruda żelazna, kobalt i sól. Inne kraje Ameryki Łacińskiej, o takiej samej liczbie ludności (około 7 i pół miliona) zazdrościły Kubie tak wysokiego dochodu, zwłaszcza, że głównym odbiorcą były St. Zjednoczone, którym kraj miał do zawdzięczenia nowe inwestycje, oparte na nowoczesnej technologii. Tak np. plan dalszej rozbudowy gospodarczej przewidywał rozbudowę przemysłu cementowego oraz wybudowanie w prowincji Oriente fabryki przetapiania surowego niklu na nikiel metaliczny, który do tego czasu przerabiano w Ameryce.

Pouczające natomiast są cyfry produkcji cukru oparte na źródłach oficjalnych:

Rok	Produkcja w mil. ton
1959	— — — — 6
1961	— — — — 6,8 (najlepszy porównawczy)
1964 (susza)	— — — — 4,4
1965	— — — — 6,1
1967	— — — — 6,1
1968 (susza)	— — — — 5,1

Ujemny bilans handlowy wynosił w 1957 — 53 miliony dolarów. W latach porównawczych: 1959-1963 (lata intensywnej dostaw sowieckich) 575 milionów, 1964 — 295, 1965 — 179, 1966 — 333 miliony dolarów. Brak jest oficjalnych cyfr za następne lata.

Z całkowitego dochodu, uzyskanego z eksportu Kuba otrzymuje obecnie tylko jedną trzecią w dolarach rzeczywistych, zaś z pozostałych dwóch trzecich, uzyskanych z dostaw do Sowietów i ich satelitów otrzymuje tylko 20 procent w walucie zamiennej, resztę w dostawach maszyn, urządzeń technicznych, paliwie, olejach, zaś w ostatnich latach w rosnących dostawach środków żywności.

FANTASTYCZNY PLAN CASTRO NA ROK 1970

Zachęcony widocznie dobrym zbiorem w r. 1961 i bez zwracania uwagi na mizerny zbiór w r. 1968, Castro zaplanował na r. 1970 produkcję 10 milionów ton cukru. Jeszcze w październiku 1969 r. Granma ogłosiła artykuł, który zawierał następujące zdanie: „Oświadczamy przed całym światem, że w 1970 r. uzyskamy produkcję 10 milionów ton cukru, ani jednego funta mniej, bo produkcja mniejsza, choćby tylko o jeden funt byłaby dla nas nie zwycięstwem lecz klęską.“ (Granma 26.10.1969).

Jednocześnie zapowiedziano na dzień 26 lipca 1970, wielką fetę dla wyrażenia przez cały naród radości, który wtedy miał się bawić i tańczyć całą noc. Do rozradowanych tłumów miał przemówić sam Castro. Istotnie, przemówił ale nie do rozbawionych tłumów lecz przez radio, bo feta odpadła. Ujawnił całemu narodowi prawdę, że zaplanowanej produkcji 10 milionów ton nie uzyskano. Nie ujawnił oczywiście cyfry, ale już wcześniej była ona znana każdemu, bo zebrano o przeszło 2 miliony ton mniej. Nazwał wynik ciężkim kryzysem, a całą odpowiedzialność przerzucił na „analfabetów i półanalfabetów“, zajmujących wysokie i niższe stanowiska w administracji państwowej, przy czym dodał, że zajmują je z tytułu przynależności do „guerilleros“. Nie wspomniał ani słowem, że w okresie porównawczym około 300 tysięcy Kubańczyków opuściło Wyspę, wśród nich zdolni technicy i administratorzy, zniechęceni do dalszej pracy pod komendą „guerilleros“ i sowieckich doradców. A jak ostatnio doniosła prasa zachodnia, Castro postanowił zlikwidować dalsze tzw. „freedom flights“ i nie wypuścić już nikogo z kraju.

AUTOR I NASZE KONKLUZJE

W swojej książce autor, który po rewolucji odwiedził Kubę cztery razy, opisując spotkania z Castro i Che Guevara (który zginął w Bolivi 8 października 1967 r.), przytacza wyjątki z przemówień wodza rewolucji i jego plany rozwoju gospodarczego kraju. Nie wyraża swych własnych konkluzji odnośnie możliwych

dalszych wydarzeń, twierdzi natomiast, że zgodnie z hasłami, głošonymi przez prasę „socjalistyczną“, iż stojący na czele wodzowie krajów „socjalistycznych“ zawsze winni mówić prawdę, i on w swojej książce przedstawił prawdę o sytuacji na Kubie. A właśnie za napisanie prawdy, a prawdopodobnie na skutek inspiracji z centralnego ośrodka dyspozycji w Moskwie, prasa kubańska nazwała go agentem amerykańskiego CIA.

Za to bogata treść jego książki, zachęca i czytelnika tak wyjątkowo dobrego źródła, do snucia własnych konkluzji, opartych na następujących założeniach:

Kuba jest państwem Ameryki Południowej, krajem katolickim i ludności o temperamencie wybuchowym, która w ubiegłym stuleciu przez 30 lat, z pełną determinacją walczyła o uzyskanie bytu niepodległego. Ostatecznie uzyskała go dzięki pomocy jej potężnego sąsiada — St. Zjednoczonych. Utraciła niepodległość faktyczną, gdy Castro zerwał więzy z tym krajem, a związał się z Sowietami, określając siebie marksistą-leninistą.

Nie należy jednak zapominać, że w południowej części amerykańskiego kontynentu, rewolucje należą do rzędu częstych wydarzeń. Utraćono tam już zdanie „kto następny“. Z tego założenia wychodząc, nie można całkowicie wykluczyć i tam jeszcze jednej rewolucji, której celem, podobnie jak w ubiegłym stuleciu, może i tym razem być walka o odzyskanie utraconej niepodległości. Powiązanie się z Sowietami doprowadziło w ostatnich 11 latach kraj do wzmagającej się z roku na rok ruiny gospodarczej. Toteż, po przeczytaniu książki Karola, trudno oprzeć się myśli, czy rewolucja wywołana przez Castro przeżyje jeszcze jedną dekadę.

Władysław Opolski

Zbrodnia Katyńska W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową

WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: £1.75

The Crime of Katyn

FACTS and DOCUMENTS

Cena: £1.87

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

OBLĘŻENIE BEŁZA

DLA historyków przyszłości a przede wszystkim dla historyków wojskowości polskiej, publikacje i wydawnictwa książkowe naszej obecnej emigracji będą niewyczerpaną skarbnicą informacji.

Uczestnicy drugiej wojny światowej będą jeszcze długo żyli. Mają czas na pisanie. Gorzej jest ze świadkami wydarzeń obu polskich wojen z lat 18—20. Tych jest coraz mniej i niezadługo zabraknie ich zupełnie. Trzeba się spieszyć z pisaniem co zrozumiał dobrze m.in. Kornel Krzczonowicz publikując swoją doskonałą książkę „Ostatnia kampania konna”.

W dziedzinie informacji o których powyżej, „Orzeł Biały” będzie zajmował niepoślednie miejsce. W tej myśli kreślę szkic poniższy poświęcony ciekawemu epizodowi, o którym — o ile wiem — nikt dotąd nigdzie nie wspomniał. Chodzi tu o oblężenie Bełza, które miało miejsce pod koniec 1918 i na początku 1919 roku.

Bezpośrednio po nieudalym zamachu księcia E. Sapiehy i płka M. Januszajtisa na rząd Moraczewskiego, który miał miejsce w Warszawie na jesieni 1918 r. rozpoczęło organizowanie grupy wojskowej, której dowództwo powierzono płk. Leonowi Berbeckiemu. Początkowo mówiono, że będzie to „grupa karna”, złożona z oddziałów które brały udział w zamachu. Były to: rozrośnięta do siły batalionu 12 Kompania (garnizonowa) 1 p.p. (Wehrmachtu); Batalion — także rozwiniętej Szkoły Żandarmerii z Cytadeli i, co zaprzeczają charakterowi „karnej grupy”: batalion 23 p.p. „Dzieci Warszawy”, który nie tylko nie brał udziału w zamachu ale mu przeciwdziałał. Poza tymi oddziałami weszła w skład grupy bateria z 8 Pułku art. pol. oraz pluton ułanów „Ziemi Mazowieckiej” pod d-twem por. Sękowskiego. Później dołączył do grupy pociąg pancerny „Zagończyk”, dowodzony przez por. Pastuszenkę.

Batalionom dano nowe numery.

Mój (wehrmachtowy) otrzymał nazwę Batalionu strzelców Nr 6. Baon Szkoły z Cytadeli 3 Baon strzelców. Dowódcami byli: 6 Baon — kpt. Karol Płoszajski (piszący te słowa pełnił funkcje adiutanta tego Baonu). 3 Baon strz. — kpt. T. Trapszo, wreszcie dowódcą Baonu 23 p.p. był kpt. Żurakowski.

Większość z nas przewidywała, że idziemy na pomoc obrońcom Lwowa. Tymczasem załadowano nas do pociągu idącego do Rawy Ruskiej. Przybyliśmy tu po dwóch dniach podróży, wyładowano nas na dworcu i ustawiono w szyku do przeglądu. Oddziały prezentowały się znakomicie, żołnierz wehrmachtowy był wspaniale wyćwiczony, duch wśród oddziałów nastrojony na najwyższą nutę.

Przed frontem zjawił się płk Berbecki i wypowiedział bombastyczną mowę. Zakończył ją okrzykiem: „Zasypimy hajdamaków czapkami!”

Pierwszym naszym zadaniem było odnalezienie operującej gdzieś w kierunku Żółkwi Legii Akademickiej (36 p.p.) i wsparcie jej, gdyż ponoć miała duże straty po czym mieliśmy zdobyć Żółkiew.

Pomaszerowaliśmy zwykłym, nieubezpieczonym marszem, szosą wiodącą z Rawy Ruskiej do Żółkwi. Przed leżącą przy szosie wsią Wołą Wysocką, powstrzymał nas silny ogień broni ręcznej i karabinów maszynowych; rozwinięte tyraliery ruszyły do ataku na wieś. Po całodziennej ciężkiej walce, już o zmierzchu, szturmem na bagnety zdobyliśmy wieś.

Cała ta akcja udowodniła jasno, że płk Berbecki nie potrafi dowodzić oddziałami złożonymi z różnych broni. Walkę prowadził znaną sobie taktyką piechoty, nie wsparł jej posiadaną artylerią ani pociągiem pancernym, obok którego krwawiły się tyraliery leżące na lekko pokrytej śniegiem równinie. Ponieśliśmy tak ciężkie straty, że Berbecki zmuszony był zarządzić odwrót. Nawiasem do-

dam, że w czasie tej beznadziejnej bitwy ranny został ciężko w głowę mój kolega szkolny pchor. Zygmunt Łączyński. Przeniesiono go do leśniczówki, w którejśm się zatrzymał a lekarz grupy powiedział mi, że nie warto go zabierać bo lada chwila umrze. Pomimo tego załadowałem go na wózek kar. masz. i po wielu tarapatkach dowiozłem do Rawy Ruskiej. Stąd pociągiem odjechał do Warszawy. Wyżył — cudem. Doktorzy w Warszawie mi powiedzieli, że prawdopodobnie dlatego, iż wiozłem go podczas trzaskającego mrozu. Nie umiem powiedzieć czy tak było naprawdę. Łączyński przez całe życie potem był częściowo sparaliżowany.

Tak czy inaczej, zamiast „zasypać hajdamaków czapkami” dostaliśmy solidne lanie, a dowódcy Ukraińcami austriacki Niemiec, mjr Klee, nie dał nam wytchnienia i po drodze do Rawy Ruskiej otoczył nas w Dobrosinie, skąd chyłkiem nocą, utraciwszy wszystkie tabory, przerwaliśmy się do Rawy Ruskiej tylko dzięki pomocy oddziału por. Lisakuli, który podążył nam na pomoc.

Niepowodzenie na południu postanowił płk Berbecki powetować sobie na wschodzie. Po wylizaniu się z ran ruszyliśmy teraz ku Bełzowi i Krystynopolowi. Po drodze ponownie stoczyliśmy ciężką bitwę, ale posiłki w postaci m.in. Batalionu podhalańskiego dowodzonego przez... rotmistrza Wołkowickiego umożliwiły nam zajęcie Bełza. Płk Berbecki postanowił wykorzystać to powodzenie i zaraz ruszył z całą grupą na Krystynopol. Tutaj wykazał ponownie swoje zdolności dowódcze, rozkazując szwadronowi kawalerii (zdaje mi się, że był to szwadron z 7 p. uł.), szarżować na most na Bugu. Szwadron — rzecz jasna — poniósł kolosalne straty a szarża się załamała. W tym czasie, tabory grupy zatrzymano we wsi Żużel pod Bełzem. Kiedy Berbecki marnował ludzi nad Bu-

giem, baon (kureń) ukraiński z Wareża zajął Żużel i wymordował wszystkich naszych żołnierzy — pomiędzy nimi chorych i lekko rannych. Tam zamordowany w bestialski sposób zginął kapelan grupy, Nadolski. W tym czasie znajdowałem się w przysiołku na wschód od Żużla, gdzie wraz z rusznikarzem sierż. Kulmatyckim reperowałem uszkodzone karabiny maszynowe Maximy.

Żołnierz, któremu udało się umknąć z Żużla opowiedział mi o masakrze jaka tam miała miejsce. Przeleżawszy potwornie zimną noc za kar. masz. skierowanym ku Żużlowi, doczekałem się o świcie nadejścia wysłanej nam na pomoc kompanii Baonu Podhalańskiego, dowodzonej przez słynnego z odwagi porucznika b. Strzelców Tyrolskich, Żyda, Oslera. Ten, nie czekając na pomoc ruszył bezzwłocznie do ataku, wyrzucił Ukraińców z Żużla i oczyścił drogę odwrotu na Beż. Jeśli gen. Dayan ma teraz takich oficerów w Izraelu to nie dziwię się, że wali Egipcjan jak chce...

W rezultacie tych wyczynów Berbeckiego cała grupa wycofała się do Beża, gdzie została ponownie otoczona przez znaczne siły ukraińskie, dowodzone przez atamana Baczyńskiego z szefem sztabu, mjr. Klee.

Beż jest otoczony prawie idealnym kołem złożonym z wsi Żużel, Cebłów, Oserdów, Bydynin, Prusinów i Techłów. Z tych wszystkich wsi Ukraińcy zrobili reduty, połączone gdzieś tam okopami i wszędzie liniami polowych telefonów. Jedno z dowództw, znajdowało się poza linią tych wsi — tym razem o ile mnie pamięć nie myli — w Macowie.

Była to druga połowa grudnia 1918 r., rozpoczęło się regularne oblężenie, przerywane tylko silnymi atakami na różne miejsca naszych pozycji. Po jednym z takich silnych szturmów zagrzmiała trąbka od strony Żużla a na pozycji nieprzyjacielskiej pojawiła się biała chorągiew. Ubrani w porządne mundury w papachach z niebieskim trójzębem, konno, zjawili się parlamentariusze. Zawiązano im oczy i poprowadzono do płka Berbeckiego, któremu do-

ręczył pismo atamana Baczyńskiego. Wzywał on „chrobrą załogę“ Beża do poddania. Załoga ta nie może się spodziewać pomocy od oddziałów polskich działających w rejonie Rawy Ruskiej albowiem zostały one rozbite, częściowo się poddały a częściowo uszły za dawną granicę Galicji. Ataman wie, jak wielki niedostatek cierpi załoga Beża i ludność cywilna, gwarantuje wyjście oficerów z bronią boczną, opiekę lekarską i wygodny transport do Stanisławowa.

Płk Berbecki, już w pierwszych słowach odpowiedzi obraził Baczyńskiego: zamiast napisać „Panie Atamanie“, zdegradował go i napisał „Panie Sotniku“. Za czym oświadczył: „Kapitulacje, rozejmy i podobne rzeczy cywilne będą się załatwiały w Warszawie, Stanisławowie ale nie w okopach pod Beżem. Żołnierska rozmowa, Panie Sotniku, to kula i bagnet, a Bóg da szczęście bojowe, komu pomóc zechce. Następnym parlamentariuszy proszę nie przysyłać. Przyjęci nie będą“.

Nastąpiło kilka krwawych szturmów, które odparto. Od strony dworca kolejowego bronił się Baon 23 p.p. pod kpt. Żurakowskim, od Żużla komp. 6-go Baonu por. J. Wąsowicza. Ja tymczasem zostałem przydzielony do 3 Baonu strz. kpt. Tadeusza Trapszy i z plutonem broniłem toru kolejowego od strony Budynina.

Korzystając z krótkiej przerwy w atakach, większa część grupy pod ochroną pociągu panc. wycofała się wraz z Berbeckim do Rawy Ruskiej. Dowództwo obrony Beża objął kpt. Trapszo. Odcinki obsadziły: 1-a komp. 3 Baonu por. Banasińskiego, 2 komp. por. Spławy-Neumana, 3-cia por. Wojciechowskiego i 4-ta ppor. Lewandowskiego. Odcinek od strony Prusinowa obsadził szwadron 2 p. ul. rtm. Jasiewicza. Bateria art. górskiej por. Chmielnika miała stanowisko prawie pośrodku miasteczka.

Wspomnę tu jeszcze przez chwilę o pewnym dość ciekawym wypadku.

Dowódcą patrolu łączności był sierż. Popiński. Otóż Popiński wydrążył w tyczce otwór i prze-

prowadził przezeń drut telefoniczny. Pewnej nocy, podczas zawiei śnieżnej Popiński poszedł rozwijając drut pomiędzy „reduty“ ukraińskie, wyjął jedną tyczkę, założył na jej miejsce swoją i połączył drut z ich przewodem telefonicznym. Powróciwszy z tej wyprawy szczęśliwie zainstalował aparat telefoniczny w naszej kwaterze. Kpt. Trapszo wyznaczył kolejkę przy podśluchu. Pierwszą podsłuchaną rozmową była rozmowa dowódcy sotni z Budynina z przyjacielem adiutantem Baonu w Mycowie. Dowódca ten — nazywał się Matiuk — donosił, że nauczycielka — Polka w Budyninie, która mu się szalenie podoba, opiera się jego amorom a nawet poprzedniego dnia ugryzła go w rękę. — Zawołaj ze dwóch mołojców — radził adiutant z Mycowa, i zgwałć ją po prostu. Oto moja rada.

Następnej nocy kpt. Trapszo zarządził wypad na Budynin.

Poprowadził go dobrze znany Ukraińcom — ich postrach — dowódca naszej 5-ej Kompanii szturmowej, por. Jerzy Kulczycki. W rezultacie wypadu przesłuchiwałem o świcie czetara Matiuka. W rogu pokoju, pijąc herbatę, siedziała uroczą nauczycielka z Budynina. Matiuk, kiedy mu powiedziałem co mu zarzucamy, zaprzeczył wszystkiemu. Kiedy mu odczytałem powoli, słowo po słowie, jego rozmowy telefoniczne, przybladł i zaniemówił. Trzeba pamiętać, że w owych czasach nikomu się nie śniło o radiu i podsłuchach.

Oblężenie Beża trwało do wiosny 1919 r. W słoneczny dzień, gdzieś przy końcu kwietnia pojawił się nad Beżem samolot. Małeńki spadochronik spadł przed kościołem. W zalepionej płócienną kopercie była kartka: „Trzymajcie się, dzielni chłopcy, pomoc jest blisko, za kilka dni będziecie oswobodzeni! — Dowódca grupy, gen. bryg. Romer“.

Kilka dni później, nocą, wkroczyła do Beża 1 Dywizja Hallerowska.

Tydzień potem, chodziłem po Nowym Świecie w Warszawie i — niepoprawny — zerkałem ku uroczym Warszawiankom.

O mieście „co było tym chlebem“

Wyszła w Londynie i szybko rozchodzi się po świecie niezwykła książka; biała opasana czerwoną wstęgą z napisem: „tylko dla lwowian“.*) Istotnie są w niej wizje i wspomnienia, które w całej pełni rozumieją ci którzy się urodzili lub wychowali i lata spędzili we Lwowie, ale autor potrafi wywołać całą gamę nastrojów i tyle przeżyć i skojarzeń, że „Chlebem kulikowskim“ pożywi się każdy Polak bez względu na to skąd pochodzi i gdzie przebywa na świecie.

Tragizm przeplata się tu z satyrą a melancholię wspomnień rozświetla błysk humoru. Lwów bowiem umiał zachować pogodę i radość także w trudnych i ciężkich chwilach, nawet więc w obecnym potopie nie może w książce której on jest bohaterem zabraknąć tego elementu. I dlatego w satyrze o „Dekadzie kultury polskiej“ urządzonej przez grabieżcę, jest wspomnienie jak w popularnej restauracji Naftuły — właściciel po odegraniu „Barkaroli“ przez „stałego“ gościa kompozytora Jana Galla...

...krzyknął w przystępie
Wzruszonego porywu.
Jasiu! Do końca życia
Masz u mnie za darmo piwu.

A w „Fantazji“, kiedy autor w wędrownie po utraconym mieście zatrzymuje się nad placem Mariackim i widzi Mickiewicza, który na pomniku „z Aniołem coś rozmawia“...

Przelotem tylko przytomnie
Kiedy ja go w powietrzu mijałem
— mrugnął do mnie.

„Chlib kulikowski“ to tylko drobna część twórczości Hemara o Lwowie, to jakby antologia serdeczna wybrana z tomów wierszy, utworów wykonanych w „Szóstce“, w „Teatrze Hemara“, wygłoszonych w Ra-

dio Wolna Europa. Są w niej wspomniani i przypomniani ludzie znani szeroko jak Szczepko i Tońko, Włada Majewska, „Lwowska Fala“ Budzyńskiego; „Pogoń“ i „Czarni“ poci jak Henryk Zbierzchowski, lotnik Scipio del Campo, osobiści przyjaciele i koledzy autora wymienieni tylko po imieniu i bezimienni twórcy piosenek które nuciła lwowska ulica. Trzy z nich sprafrazował i w swoim zbiorze umieścił a jakby odpowiadając echem — napisał śliczną „kolędę lwowską“ w stylu anonimów.

Przedziwna jest zdolność Hemara pozwalająca wiązać w naturalny sposób współczesne wydarzenia ze sprawą Lwowa. I znowu ironia i ostra satyra łączą się w tych utworach z głębokim bólem, sentymentem i pogodą wspomnień, gdy pisze o losach pomników: Fredry transplantowanego do Wrocławia i Jana III Sobieskiego, „repatriowanego“ (w fazie przedwilanowskiej do Gdańska w inne otoczenie niż to które miał w swoim mieście: („przed nim wiedeńska wyprawa, za nim Wiedeńska kawiarnia“).

Nuta ostrej satyry dźwięczy w wierszu „Gdyby“ — „sprawozdaniu“ z wystąpienia Chruszczowa w Pradze i w „Telepatii“, gdzie znowu mowa o tym jak Breżniew i Kosygin oburzeni zuchwalstwem Chińczyków a niespokojni o „tyły“, rozmawiają z polskimi towarzyszami o nastrojach „w waszym polskim lekkomyślnym narodzie“. Dwudziestolecie Jałty („Rocznica“) maluje w wyobraźni ponury symbol gry w znaczone karty Churchilla i Rosevelta z arcyszulerem Stalinem. Jest także poetycki komentarz o pobycie generała de Gaulle'a w Kanadzie i jego wypowiedzi za wolnością Quebecu, którą pochwaliła Rosja. I nieziszczone marzenie, że w Warszawie, którą później odwiedził entuzjastycznie witany przez społeczeństwo

...Francuski hetman polny
Ręce podnosi i słyszę —
Niech żyje — krzyczy — Lwów
wolny!

A on serca okrzykiem
Jakby ostrogą spina;
Niech żyje wolna Białoruś!
I wolna Ukraina!
I wolna Czechosłowacja!
I wolne Węgry!...

A wśród satyr-komentarzy jakże inna w nastroju „Ziemia lwowska“. Piosenki to dziedzina specjalna twórczości Hemara. Wyznaje, że sam nie wie ile ich rodzinnemu miastu poświęcił. W ostatnio wydanym tomie przypomina niektóre napisane na emigracji z wyjątkiem jednej powstałej w Warszawie dla teatru „Qui pro Quo“ i mówiącej o tęsknocie za Lwowem („Serce się zdala trzodzi...“) Zrobiła ta piosenka wielką karierę w Polsce choć nikt nie mógł przeczuć jak wygląda prawdziwa rozłąka z umiłowanym miastem.

Dobre fotografie poety i jego przyjaciół-artystów Włady Majewskiej i Szczepka przydają wartości książce. Cztery piosenki Szczepka pochodzą z czasu jego występów w „Teatrze Hemara“, jest wśród nich pełna melancholijnego uroku „Piosenka o marzeniu ostatnim“, jest i taka, której on nie zdążył zaśpiewać. Autor poświęca ją jego pamięci. Te wyjątki z repertuaru Szczepka i Włady Majewskiej przegradza piosenka Tońka z „Lwowskiej Fali“: „25 lat.“

Piosenki Włady Majewskiej — to te najpopularniejsze i najbliższe lwowiakom jak „Rozmowa z księżycem“ i „Chlib kulikowski“. I „Piosenka o Cmentarzu Łyczakowskim“, którą tragicznie zaktualizowały świeże wiadomości o barbarzyńskim sprofanowaniu i niszczeniu naszego Camp Santo.

Z zadumy nad grozą katastrofy żywiołowej i śmierci wyrósł wiersz o trzęsieniu ziemi, które w grzy obróciło piękne miasto Agadir. Wiadomość znaleziona w jakiejś gazecie, że po dwunastu dniach usłyszano pod gruzami płacz dziecka i uratowano młode życie urasta do powagi symbolu:

*) Marian Hemar: Chlib kulikowski — wiersze, satyry, piosenki. Nakład Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1971.

PARNAS Z „UDZIAŁOWEJ“*)

„CZERWONY MUNDUREK“

O TYM trzęsawisku roznoszącym miazmaty — to znaczy o bohemie i półświatku z „Udziałowej“ pisano i śpiewano. Piosenkę Boczkowskiego „Szumiały mu echa kawiarni“ śpiewała cała Warszawa. W teatrze „Rozmaitości“ grano „Kawiarnię“ Gorczyńskiego. W teatrze „Małym“ „Kawiarenkę“ Tristana Bernarda (z Fertnerem). Nowaczyński swoją „Cyganerię Warszawską“ uwiecznił przenosząc w inną epokę. O „Udziałowej“ stałe felietony pisał Wroczyński w „Życiu Warszawy“, a Kotarbiński na tę nieszczęsną „Udziałową“ rzucał gromy potępienia nazywając ją „przybytkiem, w którym psują się mózgi, charaktery, a dusze karleją i łachmanieją“.

Po starej „Honoratce“ była to pierwsza kawiarnia Warszawy, w której zbierała się cyganeria. Po tym okresie secesji, dopiero zaczął się okres „Pikadora“, „Małej Ziemiańskiej“, „I.P.S-u“, „Zodiaku“, „S.I.M-u“ i akademickiej „Transcendentalnej“ w Pałacu Staszycza.

O „Udziałowej“ pisano a pisano. Po czym pisać przestano, jakby nie tylko po lokalu, ale i po jej artystach ślad zaginął. Nie znalazł się nikt, kto by o tamtych cyganach napisał, chociaż wpływ ich na obecną literaturę

*) Władysław Grzelak, „Cyganeria z Udziałowej“, Warszawa, Czytelnik.

O MIEŚCIE...

„Wiosna zdejmuję z siebie
Krepę czarnego kiru
Gwiazdami mnie prowadzi
W ruiny Agadiru

Wiosennym wichrem znajomym
Śpiewa mi, szumi w głowie
O nigdy nie umarłym
Mieście — o moim Lwowie.

W hymnie pochwalnym dla zawsze wiernego miasta jakim jest „Chlib kulikowski“ musiała zadźwięczeć struna nadziei.

Ludwik Bojczuk

teatr jest tak doniosły. Bywał tam przecież Witkacy, który zaczął walczyć ze starą epoką, z przesądami i konwencją i zostawił spadkobierców w Ważyku, Przybosiu, Gombrowiczu i Mroźku. W pierwszym okresie „Kurki Wodnej“ pali się zielona, secesyjna latarnia, w której świetle rozkładał się „Tram w poprzek ulicy“ pierwszego futurysty Jerzego Janakowskiego. To przy stoliku w „Udziałowej“ urodził się „Nuż w brzuchu“ i „But w butonierce“. To tu zaczął Tuwim, który uważał się za pierwszego futurystę i tu siadywał Lechoń, Wierzyński i Relidziński zanim się przenieśli do „Pikadora“.

Wreszcie, ktoś się znalazł i napisał książkę o „Udziałowej“. I kto? Mały Władzio Grzelak — picolo z „Udziałowej“, chłopiec, który tym wszystkim (wielkim i małym ludziom przez osiem lat rozniósł od stolika do stolika 75 tysięcy numerów pism (po przeczytaniu nadających się już tylko na przemiał).

Czy są jeszcze ludzie, którzy pamiętają Władzia w jaskrawym, jak płomień mundurku i czapeczce, suto złączonych od guzików, lampasów i kołnierza? Czerny skarykaturował go w „Nowym Szczytku“ wraz z wielu bywalcami „Udziałowej“. A Wacław Grubiński w Londynie z pewnością sobie przypomina tego czlowieka, co rządził stosem gazet piętrzących się na etażerze i szeregami pism przymocowanych do sprężystych kijów. Było tych pism 15 dzienników i 20 tygodników polskich oraz 16 dzienników i 15 tygodników obcojęzycznych. Wszystkie wisiały na otynkowanym murze ponad „buazerią“ zrobioną na mahoń, wśród małych pejzaży pędzla Kędzierskiego. Biegał z pismami Władzio cały dzień do późnej nocy od kanapki, które otaczała wielką palmę poprzez salę i werandę, zapełnioną trzema rzędami stolików, aż po bufet, nad którym pochylały się boginki trzymające znicze. Sufit nad kawiarnią usiany był żarówkami, a pod nim fryz z kwitnących kasztanów przypominał publiczności zabawy ogrodowe i wal-

ki kwiatów. Było pięknie. Muzyka grała, a za oknami, po drewnianym bruku Nowego świata i po granitowej kostce Alei Jerozolimskich jechały powozy i dorożki, czerwone tramwaje i piękne panie, kwestarki sprzedające „kwiatek“ na cel dobroczynny. Wszystko było takie szalenie zajmujące i ciekawe w tej Warszawie, w której wczoraj Bleriot, na Polu Mokotowskim, wbił się w powietrze i utrzymał się aż 3 minuty i 19 sekund. Coś takiego!

Mały picolo kochał swoją kawiarnię i po latach oburzała go, że ją zrównał młody jakiś Makuszyński ze Lwowa z podkasaną muzą, z „Aquarium“, „Renaissance“m“ i Messalką w Nowościach. A przecież to była kawiarnia, w której siadywał Reymont i Żeromski, Leśmian, Soliński, Nowaczyński, Grubiński, Górski, oboje Żmurkowie. I setki innych.

Naturalnie niewiele Władzio z tego o czym mówili rozumiał. O sympatii do poszczególnych bywalców, nieraz, decydował hojny napiwek lub życzliwy uśmiech, czasem kartki przesyłane z Paryża przez Stefana Kiedrzyńskiego (z modnie ubranymi paniami), czy tomik powieści (zbiórał przecież biblioteczkę literatów z „Udziałowej“.

Czy dobrze napisał te swoje wspomnienia? Nie wie. Przecież skończył zaledwie dwie klasy; douczał się na wieczornych kursach i na popularnej encyklopedii, którą wycinał z „Wiadomości Codziennych“ i oprawił w cztery tomy.

Na relacje Władzia patrzymy więc z taryfą ulgową i z dużą dozą ciepła. Jego bystrość i spostrzegawczość była zadziwiająca, a późniejsza praca w zecerni Mortkowicza dała mu możliwość orientowania się w „dobrej“ literaturze (Skamander, Broniewski, Kasprowiec, Dąbrowska, Leśmian, Staff, Jasnorzewska-Pawlikowska). Opinie brał z drugiej ręki. Kiedy pamięć nie dopisywała, sięgał po roczniki pism. Kierował się niezawodnym instynktem małego warszawskiego „gawrosza“. Chwytał powiedzonka. Opromieniał bywalców glorią sławy. Utrwalał umykającą rzecz•

wistość gestów, sylwetek, ubrań, uśmiechów, dowcipów. Kierował się opinią, krytyką, plotką, sławą, poczytnością, czy poklaskiem. Czasem nie umiał sobie poradzić z hierarchią pisarzy, aktorów, malarzy, czy redaktorów pism. Wtedy rozwiązywał sprawę podając nazwiska w alfabetycznym porządku — zaczynając od Bartkiewicza (pykającego fajkę) a kończąc na paryskiej tragedii Żywnowskiego. Między tymi dwoma płatały się nazwiska o nietrwałej wartości, przelotnych sław. Ale wszystko razem stwarzało codzienną atmosferę kawiarni w oparach mokki i nikotyny.

Dumny był z nich wszystkich. Cieszył się, jeżeli przychodzili z żonami i dziećmi, jeżeli siadali pod oknem, jak Solski ze swoją drugą żoną; albo w niedzielę, na środku kawiarni, jak Guranowski z żoną i synkiem (jak jabłuszko); jak Reymontowie, obłożeni paryskimi czasopismami, czy jak królewska para Żmurko (malarz z żoną Lüde Żmurkową (artystką)).

A niech no w gazecie tylko wyczytał o jakiejś naszej gwiazdce świecącej na obcym niebie — jakże się cieszył i notował, że Bolesławski święci w Moskwie tryumfy w teatrze Stanisławskiego; Ryszard Ordyński u Reinhardta; Dygas w Palermo; Szmolcówna w Nowym Jorku, a Landowska i Korolewicz-Waydowa z Paedereswkim po całym świecie!

Tyle o Władziu — „picolaku“ z „Udziałowej“.

GIEŁDA LITERACKO-ARTYSTYCZNA

Kawa i papieros. Zawiści i nienawiści. Dyskusje, przechwałki, skaniekowanie sobie do oczu. Spleeny, depresje i psychozy. Ataki W. Rzymowskiego w „Prawdzie“ na nestora obozu postępowego A. Świętochowskiego. Rzucanie się Kiedrzyńskiego na krytyków, którzy go schlastali za „Dzisiejszych“ i za „Grę serc“. Burze w szklance wody i kaczki dziennikarskie. Nieprzejednana atmosfera polityczna. Klócili się w „Udziałowej“ i godzili, wypijając z sobą bruderszafty. Przenoszono się z redakcji do redakcji, od stolika sztandarowego krytyka „Młodej Polski“ Artura Górskiego do stolika Chromańskiego, W. Grubińskiego, Kleszczyń-

skiego, Jana Lemańskiego, Perzyńskiego, Nowaczyńskiego, Langego czy Rogowicza.

Lange? Lawirował między mistykami Józefem Jankowskim, Micińskim i eleganckim Mahrburgiem, aby pogadać o filozofii Höffdingera i filozofii religii czy wolności ludzkiej woli — Schopenhauera. Przysiadł się do nich stary pan Stępowski, który pracował w „Prawdzie“ i był współzałożycielem „Ogniwa“ (Ojciec Hostowca).

Wybitni cyganie chodzili w glorii. Czasem uciekali do rzeczywistości, jak Kazio Przerwa-Tetmajer, który pierwsze wtedy miejsce zajmował na Olimpie „Udziałowej“ poezji*). Siadywał w kącie, odgradzony od wszystkich płachtą krakowskiego „Czasu“. Nazywano go „Homerem Podhala“ i poetą z „Wesela“. Rzeźbił jego głowę (w medalionie) rzeźbiarz Ostrowski (obok medalionu Micińskiego i Żeromskiego). Ale sława jego już miała się ku zachodowi. Oto przy stoliku w „Udziałowej“ pojawiły się inne gwiazdy. Zakładano „Teatr Artystyczny“ na cześć Stanisławskiego i Leśmian jako kierownik artystyczny, pijąc pół czarnej, kaptował sobie reżyserów: Schillera, Horzycę i Osterwę (rok był 1911).

A przy innym stoliku Kaden-Bandrowski z Ignacym Witkiewiczem, Bruno Winawerem i Szandlerowskim (w sutannie) mówili o „Paraklecie“, „Confiteorze“ i „Marii z Magdali“, porównując Szandlerowskiego z Wyspiańskim, zachwycając się widmowymi konstelacjami Stasia Witkiewicza (na szafirowym papierze kolorowymi kredkami) i wołali na Władzia, aby im przyniósł „Sfinksa“ (redagowanego przez Wł. Bukowińskiego), „Nową Gazetę“ Kempnerów (gdzie dodatek literacki prowadził Jan Lorentowicz), czy „Widnokreśli“ (Wasercuga-Wasowskiego).

Brody młodopolskich cyganów pochylały się nad pismami, które przemijały jak meteory. Panowie redaktorzy, tu przy stolikach, omawiali numery, zamawiali artykuły, czasem robili korektę. Był między nimi Kazimierz Laskowski, Czesław Jankowski, Kazimierz Wroczyński („Marchott“), Jerzy Jankowski („Tydzień“), St. Dzikowski (ruchli-

*) Jeżeli był w Warszawie przejazdem.

wy i dynamiczny, redagował „Więć Ilustrowaną“), Pomper-Pomirowski, Rzymowski („Prawda“), Krzywoszewski („Świat“), Grendyszyński („Słowo“).

„Obok wielkich i trwałych pism, rozdziły się pisemka, obok wielkich talentów przy stolikach w „Udziałowej“, siedzieli grafomani, „góry rozdające mysz“. Zachwyt nad sobą. Poezja była bardzo poetyczna, a język jak „aniołów mowa“. Ale już z boku obserwując to Witkacy zaczął mieszać do tych peanów filozoficzną groteskę, dręczyć sumienia i kpić ze znikomości konwenansów, szanowanych i boczkami obchodzonych.

Między bracią literacką kręcili się autorzy dramatyczni, malarze, rzeźbiarze. Aksamitne marynarki, długie włosy, kokardy pod brodą (Ksawery Dunikowski). Między nimi jak piękne kwiaty — aktorki: Przybyłko (w czerwonej pelerynie i kapeluszu), Lubicz Sarowska z oczami osłoniętymi woalką, dalej stary Leszczyński i Wojciech Brydziński — czwórka obsady sztuki Wacława Grubińskiego — „Pijani“. Autor przy tym samym stoliku, „dystyngowany, przemily, jakby wycięty z żurnala, Don Juan w każdym calu“ (cytuję słowa Władzia).

Pan Wacław krytyk, esteta, nowelista, autor „Kochanków“. Sztuka ta była sukcesem, wypełniła długi szereg wieczorów, hucznie oklaskiwana przez publiczność, potępiana przez moralistów, którzy zarzucali jej „niemoralność obyczajów, drażliwość tematu i paradoksy. Obok Grubińskiego, w „Udziałowej“ z komediopisarzy bywało moc, z których Władziowi muszę odrzucić wielu, aby zatrzymać się na Gorezyńskim, autorze „Nocy lipcowej“; Neuwerce Nowaczyńskim („Car Dymitr“, „Smocze gniazdo“, „Staroście ukarany“); J. Ad. Hertzu („Młody las“).

Dreptał i klapał sztuczną szczęką schodzący z areny sławy staruszek — Kazimierz Zaleski i wchodził na widownię Bruno Winawer, który wtedy bardzo dobrze się zapowiadał.

Wśród autorów dramatycznych (biedoty i luminarzy) siadywali aktorzy: Jaracz, Mila Kamińska, Iza Kozłowska, Mirska, Dublebianka, Bończa, Broniszówna, Laura Pytlińska, Kazio Junosza (późniejszy

Śtepowski, Zelwer, młodziutki Osterwa, Jurek Leszczyński. Ze starej generacji dwóch rywali w czołowych rolach, granych po mistrzowsku: Frenkiel i Kamiński.

Kobiety jak kwiaty. Kochano się w nich na zabój. Czasem zjawiała się stara pani Lüdowa z mężem malarzem (Żmurko). Była to królewska para. Przysiadali się malarze w pelerynach: Lasocki, Lenc (Herkules), Okuń, Krzyżanowski, Pawliszak, Kędziński. Rzeźbiarze: Dunikowski, Kuna, Wittig. O teatrze mówili Józef Jankowski, („Wieczory teatralne“) i Ignacy Błański („Rozmowy o teatrze“).

Rozmowy w „Udziałowej“ nie zawsze obracały się wokół sztuki, repertuaru, sensacji teatralnych, odkurzania staroświeczczyzny (Leon Schiller Neuwert-Nowaczyński), ale i wołoko zakulisowych i światowych sensacyjek. Wiele mówiono o: ślubie Liny Cavalieri, o kradzieży Giocondy z Louvre'u, o Azefie rewolucjonście, prowokatorze który okazał się szpiclem na żołdzie „Ochrań“.

Dwie orkiestry grały na zmianę, wytwarzając nastój tak właściwy dla „Belle époque“. Walce ze wszystkich modnych operetek kołysały, podniecały, nastrojały do flirtu, do pseudouczuć, doprowadzając do melodramatów, pojedynków — niezupełnie już zrozumiałych dla współczesnego człowieka.

EROTYKI, DRAMATY I KONFLIKTY

To co teraz nazywamy „seksm“ — Przybyszewski nazywał „Tańcem miłości i śmierci“. Tematyka erotyczna wypełniała literaturę i sztukę. Srokowski — stary bywalec „Udziałowej“ — pisał o nagości, a Żmurko, inny bywalec „Udziałowej“, tę nagość erotyczną malował. Maciej Wierzbński, Szczesny Herbaczewski, Idzikowski, Guranowski rzadko w swych powieściach odbiegali od tematyki erotycznej. Na scenie Kiedrzyński wystawiał „Miłość bez grosza“, „Zabawę w miłość“ i „Pierścien miłosny“. „Dzieje mężczyzny“ Olechowskiego graniczyły z pornografią, a „Kult ciała“ Srokowskiego miał pięć wydań. W czasach półdniewic i juppe-culotte Srokowski to był talent. Reymont ceniał go wysoko

wraz z Francem Fiszerem i Kazimierzem Lasockim — malarzem. Wszyscy trzej byli na ślubie Srokowskiego.

„Belle époque“ — ceniono w tym okresie, jak nigdy potem, wszelkie radości jakie niesie życie i wszystko wyzwalano się z przesądów. Oklaskiwano humor wyrafinowany dowcip i ironię Franca Fiszera! Jego stolik w „Udziałowej“ był oblegany. Wesołek dr Józef Bradski, Sierosławski, Nawrocki — redaktor „Sowizdrzała“, a z kabaretu „Momusa“ Zygmunt Trojanowski, Tom, Małkowski i Pawłowski. Czytano tu sobie „Firleje Momusowe“ Choromańskiego i wybuchano śmiechem, który przyciągał Reymonta. Pierwsze warszawskie kabarety literackie „Momus“ (współczesny „Zielonemu balonikowi“) i „Czarny kot“ (Wroczyński i Winawer) miały poprzedzić „Qui pro quo“ Hemara. Czasem zjawiała się Pola Negri, która święciła tryumfy w pantomimie „Suonurum“. Śpiewano o niej:

„Pola Negri — Polska Asta**)
Gwiazdą jest naszego miasta“.

Malarze znani ze swego humoru: Kamil Witkowski i Aleksander Świdnicki nucili piosenki Lubelskiego „Białe pokoiki“ i „Dymek z papierosa***“. Tu, przy tym stoliku, nieraz rodziły się dowcipy, umieszczane w prasie humorystycznej jak: „Kurier świąteczny, Szczutek“, „Marchoń“, „Kolec“, „Mucha“, „Wolne żarty“, „Śmiech“, „Sowizdrzał“, „Hymen matrymonialny“, no i „Bocian“ (najbardziej sprośny).

Czasem jednak humor zaczynał za barwiać się już melancholią, jak w Schillerowskiej piosence:

„Wiatr za szybami śmieje się,
Psiakrew — to życie takie złe“.

A w głębi „Udziałowej“ pachniały perfumy, błyszczwały brylanty, pyszniły się pióra, powiewały woale. Półświatek.

Przesyłało tu od innych stolików spojrzenia, wymowne mrugnięcia, uśmiechy, karteczki. Książka Władzia pełna jest ilustracji z „Bociana“ pięknych „wampów“. Młodemu paniąkom nie pozwalano oglądać

***) Asta Nielsen.

***) Potem przeszli do „Pikadora“.

tych rysunków. To nie przeszkadza, że kiedy zapytano w „Udziałowej“ małą Irenkę co woli: herbatę czy kakao? — odpowiedziała: „Bociana“.

Sylwester był w „Udziałowej“ za drogi dla bohemy. Więc opróżnione stoliki zapełniały finanse i półświatki. Przy dźwięku „Wesołej wdówki“ opowiadano sobie, że Kawecka w Petersburgu dostaje 40 tysięcy rubli za okres 10 miesięcy! Strzelały korki szampana, uśmiechały się od stolików Messalka i Kazia Niewiarowska. O 12-tej ciemność. Dwanaście uderzeń gongu. Światła i tusz orkiestry. Szampan i wysypujące się z rogu obfitości kapelusze, fezy, kwiaty, serpentyny.

Żniwo napiwków dla biednego dziecka o popuchniętych od biegania nogach, marzącego o Nowym Roku, kiedy będzie mu wolno do syta się wyspać i nareszcie nie biegać po „Udziałowej“.

Nie zawsze jednak w „Udziałowej“ było tak wesoło i płocho. Bywała tu przecież palestra z Berensonem na czele. St. Patek, W. Śmiarowski, którzy bronili politycznych.

Bartkiewicz za nowelę „Malczyzna dola“ stanął przed sądem. Zwolniony został dzięki mecenasowi Popławskiemu. Leo Belmont — autor „Sprawy przy drzwiach zamkniętych“. Na niego spadało najwięcej represji: rok twierdzy, 1000 rubli kary, wyroki, grzywny, zawieszenia pisma „Wolne Słowo“ (zwolniony za kaucją, zmienił tytuł pisma).

LOUIS FITZGIBBON

KATYN

A CRIME WITHOUT PARALLEL

The most definite book ever published about the massacre of over 14.500 Polish officer prisoners-of-war by the NKVD in the Spring of 1940.

50 illustrations — Price: £3.00

TOM STACEY LTD.

LONDON, 1971

Czempliński siedział za karykaturę. Iza Moszczeńska za artykuł w „Odrodzeniu“ dostała rok twierdzy. Red. „Nowin“ Wł. Okręt umarł na Pawia-ku na aneurizm serca. Z. Makowiecki skazany kilkakrotnie. Zamknięto „Wiarusa“ i „Szczotka“. „Świat“ zapłacił 500 rubli kary. W. Przyborowskiemu skonfiskowano dwie książki: „Grom Maciejowicki“ i „Reduta Woli“. Nie zawsze więc wesoło bywało w „Udziałowej“. Konflikty, represje i dramaty.

Ze smutkiem żegnano zmarłych. Mały Władzio piechotą chodził na same Powązki za trumną Srokowskiego (który zmarł w rok po ślubie); za trumną Leśmiana, za trumną Tetmajera. Żali się w książce, że Miriam nad grobem przemawiał z kar-tek.

Sliczna jest ta czułość małego gawrosza dla ludzi sztuki, których choć nie mógł zrozumieć i ocenić, to jednak wyczuwał ich „inność“, ich piękno. Cieszył się, że na grobie Srokowskiego postawiono piękny pomnik rzeźbiarza Makowskiego i płakał nad grobem Tetmajera, który leżał obok grobu syna (miał tego syna ze statystką teatru krakowskiego — Mańką z Dębnik). Ten syn Tetmajera może być tak nieszczęśliwy jak chłopak, którym się opiekował Prus? Czułość Władzia wyrosła z długich lat obcowania z cyganami z „Udziałowej“; z przywiązania i z wdzięczności za uśmiech; za biedny napiwek, z którego utrzymywał siebie z matką.

PARNAS „UDZIAŁOWEJ“

Sienkiewicz, chociaż mieszkał bliźutko, bo na Kruczej, w „Udziałowej“ nie zjawiał się. Oglądano tylko jego podobizny w pismach. Dlaczego nie zjawia się? Różnie to tłumaczono, albo domatorstwem, albo pracą.

W środkowym rzędzie stolików, na widoku, zasiadywał za to Reymont. Wraz z żoną. Po paryskiej „Café des Rotondes“ lubili „Udziałową“. Właśnie skończył pisać „Chłopów“ w Paryżu i kazał sobie przynosić „Le Matin“, „Le Journal“, a dla pani „Femine“. Garsoni mijali z tacami obok tej pary i podbiegał Władzio. Lubili tego malca. Uśmiechali się do niego i obdarzali bogatymi napiwkami. A Władzio sobie myślał, że pan Reymont kiedyś był takim samym chłop-

cem, jak on, tylko genialnym i rzemiosło rzucił, tak jak pan Solski handel.

Solski siadywał, z drugą żoną, pod oknem. Wielki aktor. Władzio patrzył z zachwytem, jak „Iwan Groźny“ czule rozmawia z żoną i z jakim apetytem zjadał ciastka.

Za to Żeromski nie lubił siadywać na widoku, jak Reymont, czy pod oknem jak Solski — tylko w kącie, pod filarem. W ogóle zjawiał się rzadko. Jego stolik nie był otoczony, jak Franca Fiszera czy Reymonta. Władzio zauważył, że Żeromski lubił Kleczyńskich. On był krytykiem, a ona jako artystka teatru „Małego“ właśnie odniosła sukces w sztuce Hauptmana. Kiedyś pani Kleczyńska przyprowadziła ze sobą siostrę, pannę Zawadzką, uczennicę Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Panią przegłędała „Illustration“, które podał Władzio. I oto tak się zaczęło wielkie uczucie i małżeństwo. Władzio zapisał, że nazajutrz „oni“ spotkali się w Łazienkach. Żeromski wtedy wydał „Urodę życia“. Wydrukowana w piśmie (jakim?) „Wierna rzeka“ była tak rozchwytywana w „Udziałowej“, że Władzio musiał ją sklejać i sztukować. A znów w piśmie „L'art decoratif“ — Roches pisał o pannie Zawadzkiej, że „ma wielki talent“ Tyle Władzio o Żeromskim i jego przyszłej żonie.

Na marginesie Władziowych wspomnień o „Udziałowej“, muszę napomknąć o malarzach — kolegach mojego stryja Leona Wyczółkowskiego, którzy mówili, że powodem ich nieobecności w „Udziałowej“ są freski Kędziarskiego, owe kwitnące kasztany. Jeżeli — wołali właściciel „Udziałowej“ pan Życki chciał mieć kawiarnię w secesyjnym stylu, powinien był zaangażować Mehoffera, a wyróżniałby mu takie pawie i lotosy, na które z przyjemnością moglibyśmy popatrzeć. Na kasztany patrzeć nie mogli.

I jeszcze jedna uwaga na marginesie wspomnień o cyganerii w „Udziałowej“ — trochę późniejsza, z roku 1915. Władzio nie spostrzegł tu studentów w białych czapkach z malinową obwódką. Kolegów: Serafinowicza (Lechonia), Grycendlera-Grydzewskiego, Topolińskiego i St. Rapackiego (tłumacza Rabindramatha Tagore). A młodzi ludzie, członko-

wie komitetu redakcyjnego, akademickiego „Pro Arte et Studio“ przyszli tu właśnie, aby kolegę Grydzewskiego nauczyć robienia korekty w jego artykule „O konstytucji 3 Maja“.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zanotować tego doniosłego w skutki faktu, który zdarzył się w kawiarni „Udziałowej“.

Ileż to korekt od tego czasu miał robić redaktor Grydzewski! Jak wdzięcznym sercem, po latach w Londynie, dziękować dawnemu kole-dze za pomoc. Ilu ludzi i wielkich poetów miał z kolei uczyć robienia korekty. Że tylko wspomnę poetów: Iwaszkiewicza, Broniewskiego, Karpińskiego, Lieberta i Szenwalda.

Władzio nie zauważył przyszłego redaktora „Wiadomości Literackich“. Wiedział tylko, że w nowej filii „Udziałowej“ na Krakowskim zaczynają się występy „Pikadora“ i że tam brać cygańska się przenosi, aby dekorować ściany, robić konferansjerkę i oklaskiwać „Skamandra“. Wesele, nastroje i smutki pisarskie ulotniły się z „Udziałowej“. „Młoda Polska“ niewyczerpana w tradycjach „Chimery“, gotowa sto razy to samo powiedzieć przy stoliku, przy pół czarnej, zdawałoby się zagospodarowana w „Udziałowej“ na wieki — rozproszyła się i znikła. Ale potomstwo jej niezliczone odradzało poezję i sztukę w renesansowych kawiarniach „Małej Ziemiańskiej“, „Zodiaku“, I.P.S-u i S.I.M-u.

Janina Surynowa Wyczółkowska.

DOKUMENTY

INSTYTUT LITERACKI

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

DROGI WYJŚCIA

Studium o potrzebie reform gospodarczych i społecznych w krajach Europy Wschodniej.

Cena: 53 p., 2.25 dol.

Księgarnia SPK,
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

„STARE MURKI” (III)

U KRÓLA MINOSA

JEDZIEMY do Knossos. Nie daleko. Za ledwie pięć kilometrów od Heraklionu. Droga prowadzi przez wąskie, kręte uliczki, obok weneckich fortyfikacji do doliny wijącej się i wznoszącej ku górze.

Do wyprawy tej przygotowałam się już w Londynie czytając chciwie wszystko co dotyczyło króla Minosa i jego labiryntu. W Heraklionie udało mi się zdobyć przewodnik po Knossos, zaopatrzone w kolorową tablicę, na wzór rysunków Evansa zrekonstruowano ten olbrzymi pałac, a właściwie szereg połączonych pałaców o płaskich dachach. Dachy te obramowano kamiennymi rogami byków, które — pozłoczone — musiały błyszczeć w słońcu dodając splendoru tej naprawdę królewskiej rezydencji. Część zachodnia, reprezentacyjna i wschodnia, mieszkalna, otaczały centralny dziedziniec, połączony ze wszystkimi budynkami okazałymi schodami, korytarzami i otwartymi krużgankami. Krużganki wsparte były kolumnami z drzewa i cedrowego, mury zaś wzmocniono drewnianymi belkami, tworząc coś w rodzaju „muru pruskiego”. Były to środki zabezpieczające ściany przed trzęsieniem ziemi, na które drzewo bardziej jest odporne. Kolumny malowano w różnych kolorach białym, czarnym i czerwonym. Ściany owych krużganków zdobiły freski barwne i artystycznie wykonane. Odkrycie ich sprawiło Evansowi wielką radość i rozgłosił tę wiadomość całemu światu, bowiem ukazały one po raz pierwszy ludzkim oczom smukłe i piękne sylwetki chłopców i dziewcząt minońskich w strojach akrobatów, niosących ofiarne naczynia w uroczystym pochodzie. Olbrzymi fryz zawierał 350 tych młodzieńczych postaci, pozostało zaledwie kilka i to mocno uszkodzonych. Zabrano je do muzeum w Heraklionie, a na ich miejscu umieszczono kopie, które zrekonstruowano w całości na podstawie waz z epoki. Evans chciał bowiem dać zwiedzają-

cym wyobrażenie dawnej świetności pałacu i oryginalności tej sztuki, która nie była podobna do egipskiej, orientalnej ani greckiej.

Pałac na owym rysunku liczył cztery bramy wejściowe, 1200 pokoi, mnóstwo tarasów, korytarzy, monumentalnych schodów, magazynów i skarbców. Posiadał zbiorniki wody, łazienki, podziemia i więzienie... Studiowałam ten plan do późnego wieczora aby rozoznać się wśród ruin tego pałacu, który budowano, powiększano i zdobiono przez trzysta lat!

Wiem, że Evans odbudował część tych wspaniałości poświęcając tej benedyktyńskiej pracy 32 lata swego życia 1250.000 funtów. Jadę teraz koczem i myślę, że zorientuję się doskonale w tym co pozostało z pałacu Minosa. Nic podobnego!... Wysiadam i rozglądam się chciwie: Knossos leży w kotlinie. Winnice pokrywają u dołu łagodne stoki wzgórz, które otaczają ruiny od wschodu, zachodu i południa. Od strony północnej dolina jest otwarta na morze. Tam to właśnie rozłożyło się olbrzymie miasto — stolica, które nie istnieje. Wzgórek, na którym stał pałac, powstał sztucznie — ze szczątków osiedli ludzkich, budowanych tam przez 2000 lat. W kierunku zachodnim widać z oddali rzekę Kairatos, która dawniej niosła podobno więcej wody i była dostępna dla królewskich statków. Dziś wygląda jak mały strumyk. Kiedy spoglądam na olbrzymią powierzchnię wzgórza, obejmującą 20.000 metrów kwadratowych, jestem zgubiona. Wśród ruin stoją fragmenty odrestaurowanego pałacu — jakie? Nie wiem.

Przewodniczka nie daje mi czasu na rozpatrzenie się w terenie. Biegnę prędko przez reprezentacyjny dziedziniec ku zachodnio-południowej bramie. Jest to oficjalna, polityczna i religijna część pałacu. Ściskam w rękę i błogosławię greckie pantofle, które pozwalają mi biec po gładkich niegdyś, a dziś bardzo kostropatych płytach dziedzińca. Zdaję się całkowicie na informacje tej miłej Gre-

czynki, która z dumą oprowadza nas po ruinach.

Wchodzimy do zrekonstruowanego kolumnowego Propylejum. Tutaj to odkrył Evans pierwszy fresk, który napenił go takim zachwytem. Na jego miejscu, oświetlona słońcem, wiś doskonała kopia pędzla Gillierona i raduje oczy kolorami i egzotyczną urodą młodzieńca. Jest ich zresztą teraz dwóch i kroczą dumnie niosąc stożkowate wazy.

Zwiedzamy magazyny króla Minosa. Stoją tam dotychczas nie uszkodzone przez kataklizm olbrzymie dzbany, jakby w oczekiwaniu na Ali Babę i 40 rozbójników. Pod magazynami są skrytki, w których, przechowywane były kosztowności. Tam również, w zbrojowni, znalazł Evans kilkaset płytek glinianych, pokrytych nieznanym pismem, które spotkał już wcześniej na pieczęciach. W czasie dalszych poszukiwań płytek takich znaleziono w Knossos ponad dwa tysiące. Pismo to nazwał Evans „Linear B”. Prace nad rozszyfrowaniem ich trwały pół wieku. Niestety, nie zawierały one historii państwa Minosa ani dzieł literackich: były to inwentarze królewskich magazynów. Momentu odczytania pisma nie doczekał jednak Arthur Evans. Zmarł w drugim roku wojny, kiedy Grecja była już w rękach niemieckich, jego ukochana Kreta padła po krwawej walce, a w willi ARIADNE, zbudowanej przez niego tuż koło pałacu w Knossos, urzędowały wojskowe władze niemieckie. Było to w roku 1941, Evans liczył wówczas 90 lat.

Obchodzimy oficjalną część pałacu, a w niej salę tronową w której król, jako najwyższy kapłan — odprawiał modły i składał ofiary bogom podziemia. Patrzymy na alabastrowy, najstarszy na świecie tron i odrestaurowany fryz z gryfonów, lwów z głową orła, które były symbolem władzy kapłańskiej, ziemskiej i podziemnej.

Przez odbudowaną częściowo główną klatkę schodową, która liczyła niegdyś pięć pięter a dzisiaj obniżyła

się do dwóch, wędrujemy do prywatnych apartamentów królewskich. Oglądamy tam kolumnową salę „podwójnych siekier“, zwanych „labrys“, od których pochodzi może nazwa pałacu — labirynt. Podobno wspaniała ta sala mieściła olbrzymie posąg bogini minońskiej. Zwiedzamy później apartament królowej, utrzymywany w kolorach żółtym i niebieskim, z pięknym freskiem przedstawiającym niebieskie delfiny wśród kremowych fal. Obok sypialni jest łazienka z prawie nowoczesną wanną oraz wygodka splukiwana wodą.

Przewodniczka prowadzi nas do warsztatów pałacowych: kamieniarzy i garncarzy. Zwraca przy tym uwagę, że zniszczenie pałacu musiało nastąpić nagle, bo w warsztacie kamieniarskim leży czerwona płyta bazaltowa ze Sparty, częściowo tylko spilowana. Leży tak od blisko czterech tysięcy lat. Zwiedzamy także amfiteatr, gdzie król Minos oglądał tańce i gry oraz inne widowiska o charakterze religijnym.

Cywilizacja minońska była bardzo religijna. Zarówno w sali tronowej jak i w innych częściach pałacu znaleziono krypty, do których schodził kapłan aby składać tam ofiary oczyszczające i odprawiać modły błagalne do bogów podziemia. Wszędzie spotyka się symbole tej religii: podwójną siekierkę, postać bogini-matki, głowę byka lub chociaż jego rogi. Może wpłynęły na to częste trzęsienia ziemi, które były dziełem Posejdona. Byk był jego świętym zwierzęciem. Minończycy wierzyli, że potężny ryk dobywający się spod ziemi w momencie katastrofy jest głosem świętego byka, który bierze na rogi ziemię i groźnie nią potrząsa. Igrzyska, w których akrobaci zręcznością swą zwyciężali ślepą siłę zwierzęcia, były również częścią obrzędów religijnych.

Z drugiej strony cywilizacja ta była lekka, rozmiłowana w życiu i jego urodzie, w pięknie przyrody i dzieł sztuki, w słońcu i żywych barwach. Świadczy o tym zarówno lekka struktura pałacu, jak i bogata jego dekoracja. Nic dziwnego zresztą: życie zagrożone nabiera większego uroku i staje się bezcenne.

Zobaczyliśmy tylko cząstkę zabytków Knossos. Trzeba by wielu dni aby poznać je wszystkie: willę kró-

lewską w pobliżu rzeki Kairatos, gdzie z balkonu oglądał król walki byków rozgrywane się poniżej, na stadionie, akwedukt, świątynię z królewskim grobem, dom najwyższego kapłana, mały pałac, cmentarze minońskie i zabudowania olbrzymiego na owe czasy miasta, które liczyło 100.000 mieszkańców.

Knossos nie miało murów obronnych, miało za to ogromny i piękny park. Potężna flota broniła brzegów wyspy od nieprzyjaciół i tępiła piratów. Któż zresztą mógł się wówczas przeciwstawić Krecie, która panowała swą flotą nad basenem Morza Śródziemnego? Egipt nie posiadał wielkiej wojennej floty, żył zresztą w pokojowych stosunkach handlowych z państwem Minosa przez tysiąc lat. Za opiekę przed piratami musiały miasta i wyspy greckie płacić Krecie haracz. Może jedną z form tego haraczu były owe dziewczęta i chłopcy zabierani rodzicom i szkoleni do igrzysk z bykiem?

Skąd przyszła ostateczna zagłada pałacu Minosa? Od trzęsienia ziemi, najazdu barbarzyńców, czy od spisku tych młodych akrobatów i buntu ludu kreteńskiego przeciw mieszanej, achajsko-minońskiej dynastii? Może jedno połączyło się z drugim, a legenda o Tezeuszu, zwycięzcy Minotaura, prawdę mówi? Faktem jest, że pałac został nagle zburzony, splądrowany i spalony. Może wyjaśnienie tej tajemnicy leży jeszcze w ziemi i wyjdzie kiedyś na światło dzienne?

Trąbka z autokaru wzywa mnie do powrotu, mąż stoi w oddali kiwając w moją stronę. Biegnę po prastarej drodze wśród drzew i żegnam w duszy Knossos. Nie zobaczymy się już nigdy.

ORLE GNIAZDO

— Nie jadę do Phaestos! — zapowiada mój mąż. — Tłuc się autokarem 140 kilometrów żeby mi pokazali miejsce, gdzie stał kiedyś pałac?! Nonsens!...

Michał źle znosi długą jazdę koczem, więc ustępuje.

— Może pojedziemy do wsi Anogia? To ta wieś, w której ukrywali się partyzanci i angielscy komandosi, którzy porwali niemieckiego generała — proponuję ostrożnie. — A tylko 70 kilometrów jazdy autokarem...

Zgodził się.

Jedziemy zatem w głąb wyspy. Samochód wspina się na zbocza pasma górskiego Ida. Kto powiedział, że Kreta ma mało zieleni, ten skłamał. Oczywiście, góry piętrzące się na horyzontie mają nagie wierzchołki, pokryte wiecznym śniegiem. Nic w tym dziwnego, najwyższy ich szczyt sięga w niebo na wysokość 2.456 metrów. Ale doliny i zbocza górskie są pełne zieleni. Jedziemy wśród sadów owocowych, winnic, gajów oliwnych i drzew świętojańskich. Nasza przewodniczka informuje nas, że Kreta posiada ponad 14 milionów drzew oliwnych. Wierzmy jej na słowo.

Przy szosie i w wawozach nad którymi przejeżdżamy, kwitną różowo oleandry, a tuż przy drodze rozkwita żółto nasz poczciwy jano-wiec i panoszą się chwasty tak podobne do polskich.

Szosa jest znakomita i ciągle ją rozbudowują. Dwóch ludzi obsługuje olbrzymie maszyny, które spełniają pracę dziesiątków robotników, „Faszystowska“ Grecja nie oszczędza pieniędzy na maszyny przynoszące ulgę pracownikom fizycznym.

Droga jest śliczna — różowe w słońcu góry przed nami, zielone doliny i zbocza, kwiaty przy drodze, czasem półko jęczmienia mignie w przelocie złotem.

Nasza miła Greczynka mówi nam o cenie jaką Anogia zapłaciła za swe bohaterstwo: jako represję za porwanie generała Niemcy zastosowali barbarzyńską karę. Rozstrzelali nie tylko wszystkich mężczyzn w tej wiosce, ale również każdego spotkanego w promieniu 5 kilometrów od Anogii. Wieś spalili.

Wspinamy się coraz wyżej, na wysokość 600 metrów, jedziemy już teraz pustkowiem. Dlatego może wybrali Anogię na swą kwaterę. Dojeżdżamy. Kocz zatrzymuje się na małym placu, który jest prawdopodobnie rynkiem tej wioski. Plac jest pełen ludzi, dzieci i kur. Tutaj, w małej tawernie dostaniemy podwieczorek.

Rozglądam się. Nie całą wieś spalili Niemcy, bo widzę wiele murowanych domów. A może odbudowano je w sposób starożytny po wojnie? Nie dostrzegam mężczyzn w wieku 40-50 lat. Są dzieci, młodzież i młodzi mężczyźni, którzy mogli być dziećmi kiedy na ich wieś spadła kłę-

Z PEIPEREM W „MOZAICE“

W LISTOPADZIE 1969 r. zmarł Tadeusz Peiper. Oczywiście nie czuję się powołana do pisania o jego działalności poetyckiej i krytycznej. Tak się jednak złożyło, że poznałam go i widywałam dość często w okresie bezpośrednio poprzedzającym opuszczenie przeze mnie i przez męża Kraju, w latach 1967 i 1968. Spotkania te i rozmowy były tak charakterystyczne zarówno dla zajęć i zainteresowań Peipera u schyłku życia, jak dla postawy, jaką zajmował wobec świata zewnętrznego, że chyba warto, abym nie zachowała swych wrażeń dla siebie.

Pamiętam swoje zdziwienie, kiedy na postawione mężowi w kawiarni „Mozaika“ przy ul. Puławskiej (mieszkał w pobliżu) pytanie, z kim wymienię ukłon — odpowiedział, że z Tadeuszem Peiperem. Wiedziałam oczywiście, że Peiper był obok Przybosa twórcą Awangardy Krakowskiej i — interesując się poezją — czytałam jeszcze w szkole jego wiersze ale epoka w której pisał, wydawała mi się tak odległa, że przyznam się, myślałam, że już dawno nie żyje. Sama nie wiem, dlaczego tak mi się

wydawało, i trochę się tego zawstydziałam, ale mąż powiedział, że to nic dziwnego, gdyż Peiper od dawna już nie drukuje żadnych wierszy, a po okresie dość ożywionej działalności krytycznej po wojnie — zaniechał również i tego.

— Co zatem robi? — zapytałam. — Z czego żyje?

— Żyje najprawdopodobniej z stałej pomocy, której mu udziela Związek Literatów lub z czegoś w tym rodzaju. Nie na darmo należał w ZSSR do Związku Patriotów Polskich — odpowiedział mąż. — A co robi, nie wiem. Mówią, że nie jest zupełnie zdrow, to znaczy normalny, ale to chyba nieprawda. Natomiast nie ulega wątpliwości, że jest dziwakiem. Popatrz tylko jak jest ubrany.

Przyjrzałam się Peiperowi i musiałam przyznać mężowi rację. Proszę sobie wyobrazić siedemdziesięcokilkoletniego starca z fryzurą i zarostem hippisa, ubranego w jakąś luźną bluzę, z chustką czy też szalikiem zawiązanym pod szyją, a będzie to Tadeusz Peiper, codzienny, jak się później przekonałam, gość „Mozaiki“. Przychodził tam około południa, zaj-

mował stolik możliwie w pobliżu okna i pograżał się w lekturze dzienników. Czasem też coś pisał czy notował. Nie stronił zresztą bynajmniej od ludzi, wbrew temu, co o nim mówiono. Często widywałam przy jego stoliku jakieś starsze osoby, przeważnie kobiety (mąż twierdził, że osoby te nie mają nic wspólnego ze środowiskiem literackim). Również i teraz — opisuję nasze pierwsze spotkanie — zauważywszy widocznie, że mu się ukradkiem przyglądam, wstał i zbliżył się do nas.

Kiedy mąż mu mnie przedstawił, szarmancko pocałował mnie w rękę i na zaproszenie męża usiadł przy naszym stoliku. Zaczęła się rozmowa — jedna z tych rozmów, których było chyba kilkanaście.

O sobie Peiper mówił niewiele, bardzo niewiele również na tematy literackie, interesowała go przede wszystkim polityka. Zwierzył się nam jednak, że pisze pamiętniki. Na pytanie, kiedy je ogłosi, odpowiedział, że jest to rzecz, która może być wydana dopiero po jego śmierci.

— Ładnie bym wyglądał, gdybym ogłosił teraz bodaj fragmenty! — zaśmiał się.

Początkowo sądziłam, że Peiper ma na myśli cenzurę i że w jego pamiętnikach muszą się znajdować krytyczne uwagi o sytuacji w Polsce i o rządzących nią ludziach. Później zmieniłam zdanie i przypuszczam, że pamiętniki Peipera zawierają raczej subiektywną ocenę kierunków literackich, jakie zwalczał, i charakterystykę jego poetyckich rywali, jeśli zaś są w nich jakieś sądy o zjawiskach politycznych ostatnich lat, to powinny to być sądy pozytywne. Przypuszczenie to zrodziły we mnie wypowiedzi samego autora.

— Pani się wychowała na wierszykach Tuwima, prawda? — wołał do mnie. — I uczono panią w szkole, że to wielki poeta... Tymczasem i on, i inni zawdzięczają swą przedwojenną karierę reklamie. Reklamie i temu, co nie ma nic wspólnego z talentem i w ogóle z poezją... Dużo mógłbym pani o tym opowiedzieć...

„STARE MURKI“

ska. Jest natomiast mnóstwo kobiet — młodych, w średnim wieku i starszych. Tych najwięcej. Są czarno ubrane, bezzębne i zgrzybiałe.

Podwieczorek — znakomity ser, doskonały chleb domowego wypieku i miejscowe, dość mocne wino — dostajemy w izbie która przypomina polskie karczmy. Na ścianach ikony i poźółkłe fotografie mężczyzn, tych sprzed najazdu niemieckiego.

Kilku młodych ludzi tańczy dla nas później taniec ludowy „syrtaki“. Potem kobiety wynoszą przed domy swe wyroby tkackie i futrzane. Są między nimi i dywaniki z lisich futerek. Kupuję dla córki niebieską wełnianą torebkę, mąż robi kilka zdjęć tej malowniczej, rozrzuconej nad wązowem i na stoku góry wioski — i uciekamy do autokaru, bo jakieś zjadliwe muchy tną nawet przez ubranie.

W powrotnej drodze do Herak-

lionu myślę o kobietach z Anogii, przedwcześnie postarzałych żałobnicach, które może nigdy nie opuściły orlego gniazda. Potraciły tam mężów i synów i chowały same młode pokolenie. Pozostaną w tej wiosce aż do śmierci i będą sprzedawały swe wyroby wystrojonym cudzoziemcom, nieraz starszym od nich, ale umalowanym i mającym jeszcze ciągle wielkie wymagania od życia.

Takie kobiety, jak te Greczynki z górskiej wioski, mogą być matkami bohaterów. Dzięki nim Kreteńczycy powstawali dwadzieścia pięć razy przeciw Turkom — aż w końcu wywalczyli sobie wolność.

Kreta obdarzyła nas w powrotnej drodze najpiękniejszym zachodem słońca. Jakby wiedziała, że już jutro opuścimy jej gościnne brzozy i wyruszymy w dalszy etap podróży, na Rodos.

Krystyna Brzozowska

JEDEN DZIEŃ WE FLORENCJI

WRACAJĄC z wakacji letnich nad Adriatykiem zatrzymałem się we Florencji. Nie była to moja pierwsza wizyta w dawnej stolicy Medyceuszów. Tym razem chciałem przede wszystkim zobaczyć jak wyglądało to miasto-muzeum, tak bogate w dzieła sztuki, które były zagrożone katastrofalną powodzią z 4-go listopada 1966-go roku, lub padły jej ofiarą. Nie liczyłem na to, bym w ciągu krótkiego czasu jaki miałem do dyspozycji mógł obejrzeć najważniejsze kościoły, muzea i pałace. Pociągały mnie głównie pomniki i dokumenty, świadczące o dawnej łączności Polski z Italią i jej kulturą. Ograniczyłem się więc do obejrzenia arrasów Katarzyny Medici w Galerii Uffizi, kościoła Santa Croce wraz z przyległym chiostrą, dziedzińca przy szpitalu Santa Maria Nuova oraz grobowca księcia Stanisława Poniatowskiego.

* * *

Zacznę od arrasów matki Henryka

Walezego. Zainteresowały mnie szczególnie, ponieważ pamiętałem je jeszcze z czasów przedwojennych. Oglądałem je zawsze z największą uwagą, gdyż objaśniające napisy stwierdzały, że Katarzyna, córka Wawrzyńca Drugiego Medyceusza i żona Henryka Drugiego, króla Francji, zamówiła arras z okazji przyjazdu do Francji **poselstwa polskiego**. Było to zapewne poselstwo, które zgodnie z uchwałą sejmu konwokacyjnego w roku 1573 ofiarowało koronę polską księciu Henri Valois, synowi nieżyjącego wówczas Henryka Drugiego, a młodszemu bratu ówczesnego króla Francji Karola IX-go z linii Valois-Orléans-Angoulême. Przyjazd poselstwa w tak ważnej sprawie stał się sposobnością do urządzenia efektownych turniejów rycerskich. One też są przeważnie tematem arrasów, które Katarzyna zamówiła w warsztatach brukselskich według kartonów François Quesnel.

Wypada może wspomnieć, że Hen-

ryk Walezy panował w Polsce bardzo krótko. Ale sam jego wybór był aktem o dużym znaczeniu politycznym, gdyż o koronę po Jagiellonach ubiegał się wówczas Iwan Groźny. Ładnie byśmy na tym wyszli, gdyby sejm wybrał tego moskiewskiego okrutnika i satrapę!

Po kilkumiesięcznym zaledwie panowaniu Henryk Walezy, dowiedziawszy się o nagłej śmierci swego brata Karola IX-go, potajemnie opuścił Polskę, by objąć po nim tron Francji. Zapisał się też w naszej historii jako pierwszy król elekcyjny, wybrany po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów. Od niego zaczęła się Rzeczpospolita z obieralnym królem, któremu władzę powierzało społeczeństwo szlacheckie. Z jego przedstawicielami musiał też podpisać pacta conventa i tzw. artykuły Henrycjańskie, gwarantujące zupełną swobodę religii i równość obywateli bez względu na wyznanie. W owym czasie ostrych konfliktów religijnych

Z PEIPEREM W „MOZAICE“

Mówił to z uniesieniem i niewygasłym, widać, jeszcze od tamtych, legendarnych dla mnie, podręcznikowych lat żalem. Parę razy w ten sposób wybuchał i dlatego zapewne wydawało mi się, że żyje wyłącznie niemal wspomnieniami przedwojennej epoki i nie ma poczucia otaczającej go rzeczywistości, a w każdym razie, że rzeczywistość ta w ogóle go nie interesuje. Ale niezupełnie tak było. Nagle się uspokajał i zaczynał mówić właśnie o sprawach bieżących — politycznych, nie literackich. I to było najbardziej nieprzyjemne.

Chcę to powiedzieć bez ogródek: Peiper był albo ślepy, albo dziecięco naiwny. Aprobował bez najmniejszych zastrzeżeń wszystko, o czym wyczytał z „Trybuny Ludu“, jak również i to, co się w Polsce działo i o czym musiał przecież wiedzieć. Mało aprobował, wszystkim się zachwycał.

— Jak można nie widzieć, jak wiele się w Polsce po wojnie zrobiło i jak wiele się nadal robi! — wykrzy-

kiwał. — Nie byłbym Polakiem, gdybym nie myślał o tych wszystkich osiągnięciach z najwyższym uznaniem. Ale ja jestem Polakiem i mówię to wprost, choć inni literaci tego pani nie powiedzą, bo o swej polskości zapominają!

Chyba naprawdę nie był zupełnie normalny, bo wydawało mi się, że mówi bez związku. Nie mogłam zrozumieć, co ma wspólnego jego zachwyt dla dokonanych w Polsce po wojnie reform — bo o tym głównie mówił — z jego poczuciem polskości. Osobiście nie lubię żadnych „poczuć“ i hura-patriotyzmu. Ale chętnie przyznałabym staremuto poecie prawo do zachwycania się reformami społecznymi i odbudową Warszawy, gdyby nie jedna smutna okoliczność: że rozciągał swój zachwyt również na to, co tego właśnie dnia wyczytał w prasie. Stan ten nie zmienił się, niestety, i po licznych, znanych wydarzeniach 1968 roku.

Nie dziwnego, że w tych warunkach rozmowy nasze stały się coraz

rzadsze. Szczerze mówiąc, oboje z mężem zaczęliśmy ich unikać. W ostatnich miesiącach przed opuszczeniem Polski kłanialiśmy się już tylko sobie z daleka. Bo Peipera ciągle spotykaliśmy. Ilekroć wstępiliśmy w południe do „Mozaiki“, widziałam przy jednym ze stolików jego charakterystyczną postać z siwą, rozwichrzoną brodą i z twarzą w pół-przysłoniętą płachtami „Trybuny Ludu“. Dziwne pomyśleć, że już go tam nie ma.

A swoją drogą — bardzo bym chciała przeczytać pamiętniki Peipera. Może się jednak mylę i był redaktor „Zwrotnicy“, o której czytałam, ale której nigdy nie widziałam, był nie tylko antagonistą skamandrytów, lecz i... wielkim filutem. Niestety, nieprędko się o tym przekonam, gdyż Peiper mówił mi, że zastrzegł sobie, że jego pamiętniki wydane być mogą — nie pamiętam dokładnie w ile, ale w każdym razie w wiele lat po jego śmierci.

Maja Kubiak-Zytmirska

było to rzadkim świadectwem tolerancji i liberalizmu.

Na tym zakończę krótką dygresję historyczną.

Arrasy — tak jak je pamiętam z roku 1958-go — znajdowały się na pierwszym piętrze. Chciałem wtedy koniecznie kupić ich reprodukcje. Ale na parterze, w biurze sprzedaży kopii i fotografii oświadczone mi, że żadnej reprodukcji arrasów Katarzyny Medycejskiej nie ma. Dostałem je dopiero w tym roku. Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że powódź z roku 1966 uszkodziła brukselskie arcydzieła. Naprawę i odnowienie powierzono amsterdamskiemu Rijksmuseum. Informuje o tym teraz specjalny napis, zaczynający się od słów:

„Arrasy Katarzyny Medici, reprezentujące wizytę posłów polskich i uroczystości na dworze Katarzyny, powracają dziś na swe miejsce. Zalane powodzią w roku 1966 zostały doskonale odrestaurowane w laboratoriach Amsterdamu staraniem i na koszt Rządu Holenderskiego oraz pod szczególną pieczęją dyrektora RIJKSMUSEUM profesora Arturo van Schendal“.

Widocznie powódź podniosła propagandowe znaczenie arrasów, na których nie znać wcale śladów kataklizmu sprzed siedmiu lat. Dziś

znajdują się one na trzecim piętrze Galerii. Obok nich są inne arrasy florenckie tkane przez Flamandów. Nad nimi zaś wiszą portrety królów polskich m. in. Stefana Batorego, Zygmunta Trzeciego i Jana Sobieskiego oraz kanclerza Jana Zamoyskiego i księcia Stanisława Jabłonowskiego. Nic nie wskazuje na to, by którykolwiek z tych portretów był uszkodzony przez powódź.

* * *

Z Galerii Uffizi poszedłem do kościoła Santa Croce, uważanego za włoski Panteon, gdyż znajdują się w nim grobowce lub sarkofagi i pomniki najślawniejszych synów Italii jak Dante, Leonardo, Rafael, Michał Anioł, Galileusz. W Santa Croce powódź nie wyrządziła większych spustoszeń wśród sztuki z brązu lub marmuru. Nie uszkodziła też grobowca polskiego kompozytora Kleofasa Ogińskiego, zmarłego w roku 1833-im, ani też pięknego sarkofagu Zofii Zamoyskiej. Do dziś dnia jednak nie ukończono restauracji kilku obrazów i fresków. Świadczą o tym puste prostokątne miejsca na ścianach. Mur z cegieł nie jest tam nawet pokryty tynkiem. Naprawa odbywa się w sąsiednim muzeum.

* * *

Wyszedłszy z kościoła, który zna-

łem z poprzednich wizyt we Florencji, udałem się na dziedzińiec po lewej stronie świątyni, położony na przeciw jednej z najpiękniejszych kaplic renesansowych we Włoszech. Zbudował ją w połowie wieku XV-go architekt Brunelleschi na polecenie współzawodniczącego z Medyceuszami rodem Pazzich. Na tym dziedzińcu wmurowana tablica z brązu, która przedstawia dramatyczną scenę, poprzedzającą rozstrzelanie we Włocławku za udział w Powstaniu Styczniowym włoskiego pułkownika Stanislao Bechi przez Rosjan. Egzekucja odbyła się 16 grudnia 1863-go roku. Uważnie przyjrzałem się tej scenie. Po lewej stronie wojskowi rosyjscy na koniach. Pośrodku pułkownik Bechi, który godnym gestem odsuwa kozaka, pragnącego zawiązać mu oczy. Za pułkownikiem z konnikiem z krzyżem i różańcem. U stóp pułkownika na ziemi konfederatka. Tuż obok dwaj robotnicy kopiujący grób. Dalej po prawej stronie rosyjski oddział piechoty, który za chwilę będzie strzelał do pułkownika. Dowodzący oficer plutonu, jakby zawstydzony, ma opuszczoną głowę i przygnębiony wyraz twarzy. W głębi płaskorzeźby, na ostatnim planie, kozak z nahajką odpędzający kobiety i dzieci.

Pod płaskorzeźbą napis w języku włoskim, głoszący, że Polacy oplakując bohaterskiego obrońcę ich ojczyzny postanowili pomnikiem uczcić jego pamięć. MDCCCLXXXII.

Twórcą tego pomnika był poeta i rzeźbiarz Teofil Lenartowicz. Jego nazwisko znajduje się wyrte pod płytą. Płaskorzeźba, jako wykonana z brązu, wcale nie ucierpiała od powodzi, mimo że była całkowicie zalana. Oczyszczenie jej wymagało wiele trudu, gdyż jest małego rozmiaru i zawiera mnóstwo szczegółów. Ale zachowana jest doskonale.

* * *

Trzecim polskim zabytkiem, który obejrzałem, jest znany pomnik polskiego lekarza Macieja Barskiego-Kochlera, który żył w drugiej połowie XVI-go wieku i zasłynął jako lekarz szpitala przy kościele Santa Maria Nuova. Musiał być biegły w składaniu złamanych kończyn i sklepaniu rozbitych łbów. Świadczy o tym pochlebne epitafium.

FELIETON JUBILEUSZOWY

(Dokończenie ze str.3)

lejno generałowie Michał Karaszewicz-Tokarzewski, Stefan Grot-Roewcki, Tadeusz Bór-Komorowski i dalej po upadku powstania Leopold Okulicki i gen. Tadeusz Pełczyński — szef sztabu A.K. ranny w czasie walk.

My żołnierze spod wspólnego godła SPK wybraliśmy na nasz światowy zjazd jubileuszowy specjalną datę — dzień 11 listopada, dzień Święta Niepodległości.

Dla tych pokoleń żołnierskich, starszych, młodszych i najmłodszych — jest to najpiękniejszy dzień i najbardziej wzruszające święto.

Oto w dniu 11 listopada roku Pańskiego 1918 — Polska odzyskała po przeszło wiekowej niewoli swoje pełne prawo do niepodległego i niezależnego wolnego bytu.

Ta świadomość, ta prawda dzie-

jowa jest nam wszystkim jednakowo cenna i droga — podobnie jak inny wielki dzień tej naszej wiosny odrodzenia.

Był nim dzień 15 sierpnia roku 1920, gdy tę naszą niepodległość — czynem zbrojnym utrwalił. Tylko te dwie daty, najpiękniejsze i najważniejsze mogły być brane pod uwagę — gdy mowa o naszym jubileuszowym zjeździe.

Listopad 1918 roku — jest dla nas żołnierzy-kombatantów nie wspomnieniem tylko ale równocześnie drogowskazem.

Dla nas i dla naszych następców.

Do Polski wolnej i niepodległej idziemy dalej i do takiej dojść musimy.

My czy nasi następcy.

Stefan Benedykt



Książę Stanisław Poniatowski wg portretu Angeliki Kaufmann
(K. Chłędowski: „Rokoko we Włoszech“).

Pomnik znajduje się w krużganku na dziedzińcu szpitalnym. W biurach administracji szpitala na pierwszym piętrze dokąd poszedłem, aby dopytać się o fotografię naszego rodaka, nie wiadano o który pomnik mi chodzi, gdyż na dziedzińcu jest ich kilka. Gdy wytłumaczyłem, która rzeźba mnie interesuje i przez okno wskazałem na jej miejsce, powiedziano mi, że istotnie warto by mieć reprodukcje, ale, niestety, zawodowy fotograf wyjechał na wakacje, a zrobienie zdjęcia amatorskiego następuje z trudnością, gdyż popiersie Barskiego jest zawsze pogrążone w cieniu.

Zeszedłem na dół. Pomnik był niewątpliwie wykonany przez dobrego włoskiego rzeźbiarza i ma dużą wartość artystyczną. U góry — popiersie młodego jeszcze mężczyzny z wąsami

i bródką we włoskim stroju późno-renańsowym. Pod popiersiem płyta z napisem po łacinie, informującym że szlachcic polski doktor Maciej Kochler-Barski bardzo się zasłużył swą wiedzą szpitalowi, że zmarł na ostrą febrę i że pomnik ten został ufundowany przez braci lekarza: kanonika Jana, spowiednika Anny Jagiellonki i Andrzeja, sekretarza królewskiego. W końcu napis podaje datę urodzenia i śmierci zasłużonego lekarza. Żył stosunkowo krótko: od roku 1553 do 1591. Pod płytą z napisem łacińskim duży wyryty w kamieniu herb zmarłego na czerwonej tarczy. Pod herbem szeroki kamienny postument.

Wychodząc z podwórca szpitalnego zapytałem odzwiernego dokąd sięgała w czasie powodzi zamulona woda i czy pomnik Polaka był zalany. Odzwierne był doskonale poinform-

mowany. Na murach — mówił — są znaki dokąd sięgała woda. Jeżeli chodzi o interesujący Pana pomnik — to zalany był tylko cokół. Il dottore może dostał kataru, ale woda nie doszła nawet do jego herbu — odparł mój przygodny przewodnik. Za tę rzeczową informację serdecznie mu podziękowałem.

* * *

Już o zachodzie słońca dotarłem do mało znanego turystom kościoła Świętego Marka. Chciałem tam zobaczyć grobowiec Stanisława Poniatowskiego, księcia Rzeczypospolitej, bratanka ostatniego króla. Gdy przed wojną mieszkalem przez kilka lat w Rzymie, oblała mi się o uszy wiadomość, że we Florencji spoczywają zwłoki polskiego księcia, od którego wywodzi się linia Poniatowskich, osiadłych we Francji. Tak się jednak złożyło, że jego grobowca nie odwiedziłem. Dopiero teraz, po przeczytaniu ciekawego studium Brandyśa: „Nieznany książę Poniatowski, ten który miał być królem“, pojechałem do kościoła San Marco przy klastorze Dominikanów. Powódź nie wyrządziła tam szkód. Grobowiec — dzieło rzeźbiarza Villa — znajduje się w lewej kaplicy za metalową kratą. Jest wykonany z białokremowego marmuru. U góry napis „F i d e s i n m e m a n e t e t e g o p e r e a m“. Na dole inny dłuższy napis w języku włoskim, upamiętniający żywot i dzieła zmarłego, podkreśla że — dając przykład innym — n i p o t e d e l R e S t a n i s l a o zniósł pańszczyznę w dobrach, które były jego własnością. Zgodnie z wolą księcia grobowiec jest ozdobiony płaskorzeźbami, przedstawiającymi sceny przyznania chłopom wolności.

Książę Stanisław człowiek głębokiej wiedzy, świetny znawca sztuki, najstarszy i najbardziej światły ze wszystkich Poniatowskich, uważał zniesienie pańszczyzny za największe dokonanie swego życia.

Gdy opuszczałem kościół San Marco księżyc przeglądał się już w brunatnych wodach Anna.

Feliks Chrzanowski

P.S. Pomnik Barskiego rysowała Agnieszka Chrzanowska.

Przegląd spraw wojskowych

NIEMCY ZACHODNIE. Od 1960 do początku bieżącego roku uciekło do Niemiec Zachodnich — mimo drutów, pól minowych — nieustannej obróbki „ideologicznej“, berlińskiego „muru Ulbrichta“ i udaremnienia wielu ucieczek — w sumie aż 1752 żołnierzy „Nationale Volksarmee“, głównie z oddziałów Ochrony Pogranicza. Dlatego w ostatnich miesiącach zreformowano służbę w tych oddziałach i udoskonalano przeszkody graniczne, choć już poprzednio wzdłuż granicy, zaledwie 1300 kilometrów długiej, rozpięto 80.000 kilometrów drutu kolczastego i położono około 2.500.000 min i innych pułapek. Przeszkody te oraz wieże obserwacyjne i bronowane pasy zajmują blisko 400 kilometrów kw., czyli obszar niedużego powiatu. Dano też temu „Grenzschutzowi“ samochody pancerne i helikoptery.

Stan liczebny sił zbrojnych nie został wprawdzie zwiększony, ale jest tak czy inaczej, jak na państwo mające zaledwie 17 milionów mieszkańców, stosunkowo duży. Sama „Nationale Volksarmee“, której umundowanie jest prusko-rosyjską mieszanką, liczy ok. 200.000 żołnierzy, w tym 100.000 w armii, 47.000 w oddziałach ochrony pogranicza, 35.000 w lotnictwie i 1.600 w marynarce wojennej. Ilość wyszkolonych i młodych rezerwistów wojska sięga 900.000. Do tego doliczyć trzeba ok. 90.000 skoszarowanej policji i ochrony wewnętrznej oraz 350.000 przeważnie starszych członków fabrycznych grup bojowych, nie mówiąc o masowej paramilitarnej organizacji młodzieży. Wojsko składa się wprawdzie nadal tylko z 6 dywizji, ale twardo szkolenych i dobrze uzbrojonych i wykwirowanych. Podług oficjalnych danych dywizja strzelców ma obecnie podobno 16 razy więcej czołgów niż w 1939 roku, 37 razy więcej pojazdów mechanicznych — 13 razy więcej broni samoczynnej i 5 razy więcej środków telekomunikacyjnych. Pozostałe części sił zbrojnych nie przedstawiają się tak dobrze. Obowiązkowi służby wojskowej w razie potrzeby podlega ok. 3.399.999 mężczyzn. Toteż bierna obrona plot. jest bodaj lepiej zorganizowana niż w Niemczech Zachodnich. Obróbka

„ideologiczna“ mas idzie w kierunku zrobienia z nich „drugiego, odrębnego narodu niemieckiego“, stojącego moralnie wyżej niż jego zachodnia gałąź, nienawidzącego systemu naprawdę demokratycznego i walczącego o zwycięstwo obozu „socjalistycznego.“ Świadczy o tym m. in. obowiązujący dekalog, którego niektóre niedrętwe przykazania warto by masom świata wolnego zaszczerpić:

1. Walcz o solidarność klasy robotniczej i wszystkich pracujących i o niezniszczalną wspólnotę wszystkich socjalistycznych krajów.
2. Kochaj twą ojczyznę i bądź gotów stanąć na całego w obronie siły robotniczo-chłopskiej.
3. Przeszkadzaj wyzyskiwaniu jednych przez drugich.
4. Czyń dobrze na rzecz socjalizmu, bo on prowadzi do lepszego życia.
5. Pracuj kolektywnie nad umocnieniem socjalizmu i stosuj się do krytyki.
6. Ochraniaj i powiększaj dobro ludu.
7. Staraj się coraz lepiej pracować, bądź oszczędny i zdyscyplinowany.
8. Wychowuj dzieci w duchu pokoju i socjalizmu na inteligentnych, fizycznie sprawnych ludzi o mocnym charakterze.
9. Żyj czysto i poprawnie i szanuj twą rodzinę.
10. Bądź solidarny z ludami walczącymi o narodową wolność lub broniącymi swej niezależności.

Mimo tak „szczytnych“ a de facto zakłamanych haseł uciekłyby z tego „raju na ziemi“ bodaj połowa jego mieszkańców, gdyby nie owe przeszkody, o których powyżej była mowa. Toteż nie sposób przewidzieć, jakby się żołnierze generała Hoffmanna bili, gdyby doszło do starcia zbrojnego, choć byłiby obramowani wielokrotnie liczniejszymi dywizjami sowieckimi. Muszą zdawać sobie sprawę z zakłamania oficjalnej propagandy, gdy czytają, że niemieckodulskie manewry w Szleswiku czy amerykańsko-norweskie ćwiczenia w Norwegii są prowokacją i świadczą o agresywnych zamiarach kapitali-

stycznego „Zachodu“, gdy daleko większe własne — manewry, przeprowadzane razem z oddziałami sowieckimi, polskimi lub czechosłowackimi, tylko służą pogłębianiu „braterskiej solidarności“ i gotowości do odparcia agresji.

NIEMCY ZACHODNIE. Do europejskiej konferencji rozbrojeniowej jeszcze daleko, a związkowa „Bundeswehr“, nazywana już (w związku z tolerowaniem w niej długowłosych fryzur) złośliwie „German-hairforce“, ma ulec osłabieniu. Nie tyle dlatego, że jej budżet został o równowartość około £34 milionów zmniejszony, ile dlatego, że — mimo sprzeciwu doradców wojskowych i chadeckiej opozycji — obowiązkowa służba wojskowa zostanie z końcem przyszłego roku skrócona z 18 do 15 miesięcy. Taką decyzję powziął rząd federalny ostatecznie w połowie września — na wniosek ministra obrony Schmidta, choć musiał sobie zdawać sprawę z tego, że wobec dotkliwego niedoboru oficerów a zwłaszcza podoficerów ta redukcja czasu służby obniży poważnie poziom wyszkolenia i gotowość oddziałów. Schmidt zapewnia, że wyłącznym motywem tej redukcji była konieczność powołania do służby większego procentu zdolnych do niej, a więc chęć usunięcia demoralizującej niesprawiedliwości, jednak opozycja podejrzewa, że nie mniejszą rolę odegrał wzgląd na zbliżające się wybory albo na obecną „Ospolitik“ Brandta. Zapewnienia Schmidta, że gwoli podniesienia gotowości będzie się w przyszłości powoływać więcej rezerwistów na ćwiczenia, nie uspokoiły oponentów i krytyków. Niepokoi ich także niedbały wygląd żołnierza i obniżenie dyscypliny. Następcy inspektora wojska, generała Schnez, który przeszedł w stan spoczynku 1. października, i gen. inspektora sił zbrojnych, gen. de Meziere, który za pół roku przejdzie w stan spoczynku, staną przed bardzo trudnym zadaniem. Zwłaszcza, że obecna atmosfera i sytuacja polityczna, luki w ustawodawstwie, nadmiar opiekunów, doradców i krytyków „Bundeswehr“ oraz raczej rosnąca dysproporcja sił obu bloków uzdrowienie utrudniają i utrudniać będą. *

„ŚWIADEK“ ROMANA ORWID-BULICZA

Teatr Polski Z.A.S.P. pod kierownictwem art. p. L. Kielanowskiego wznowił po 22 latach sztukę współczesną znanego autora książek sensacyjnych i publicysty Romana Orwid-Bulicza, pt. „Świadek“. Była ona wystawiona na przełomie 1948 i 1949 r. przez „Polski Teatr Dramatyczny — Konfraternia Artystów — Licencja S.P.K.“ W reżyserii Wacława Radulskiego. Treść jej została z lekka zaktualizowana przez wprowadzenie wątków nieznanymi jeszcze podczas jej prapremiery, która odbyła się gdzieś w listopadzie 1948 r. zapewne w jednym z licznych wówczas obozów uchodźczych w W. Brytanii i potem grano ją tam podobno 47 razy.

Prapremiera londyńska przypadła na 8 lutego 1949 r. w „Ognisku Polskim“. Wobec tego, że założenie sztuki nie uległo zmianie, zatem wszystko dobre i złe, które wówczas powiedziano w recenzjach, można by dziś powtórzyć, jak to widać z kilku poniżej podanych próbek poprzesztających na najogólniejszych opiniach. Prapremię londyńską wyprzedziła recenzja T. Terleckiego w „Wiadomościach“ z 30.I.49, w której podniósł on aktorską „świeżość odczuwania... i... dziedziczną nieporadność techniczną“. Pomysł raczej nowelistyczny niż dramatyczny“. „Aktorzy zawodowi grali... bez większego przekonania... podzielona wina autora i reżysera“. Pierwsza recenzja po pramierze londyńskiej M. Świąćckiego w „Dzienniku Polskim“ z 11. II. 1949 r. głosiła m. in. „Sztuka... dziełem literackim we właściwym znaczeniu tego słowa nie jest“, ale „Z punktu widzenia techniki scenicznej „Świadek“ jest napisany dobrze“. „Dobra, bardzo wyrównana, pozbawiona jakiegokolwiek szarży gra zespołu...“

Recenzja Wł. G. (Władysław Günther) w „Lwowie i Wilnie“ z 20.II.49 stwierdza, że „Świadek“ jest utworem scenicznym nieudolnym“. „Ten 3-ci akt jest błędem zasadniczym“. „Nieudolnym jest również prowadzenie intrygi“, niemniej „przykuwa uwagę od początku do końca“ Ta widoczna niekonsekwencja zgodna jest z utartym zwyczajem, aby temu, co powiedziano w pierwszej części recenzji, zaprzeczyć w drugiej. Najostrzej obszedł się ze sztuką J. Kowalewski w „Orle Białym“ z 12.III.49 pisząc: „Nie mogłem słuchać „Świadka“... aktorzy dosłownie nadrabiali minami“.

W podobnym duchu, jak wspomniane głosy, wypowiedzieli się członkowie wieczoru pt. „Wzywamy Świadka — przed sąd“. Zorganizowało go 15.II.49 świeżo powstałe wówczas „Towarzystwo Przyjaciół Polskiego Teatru Dramatycznego“. Na niewiele się to zdało. Śp. J. Bielatowicz, jako „oskarżyciel“ powiedział wprost „To nie teatr“, niemniej dodał dalej „Sztuka... dźwięczy chwilami najczystsza sztuką teatru“. „Wątek sensacyjny jakże niefortunnie spłycony“, „Całość szyta jest grubymi nićmi“. „Przeprowadzenie go (motywu sensacyjnego) ... jest nieczyste, niedbałe i prawie banalne“. „Wybranie tej (sensacyjnej) formy dla dramatu o Katyniu nie nadaje właściwych konturów sprawie... M.Świąćcki, jako „obronca“ zaznaczył m.in. że „Orwid Bulicz jest nie tyle pisarzem, ile raczej korespondentem wojennym“. „Bulicz służy nie literaturze ale propagandzie...“ Tak „obronca“ uwypuklał same okoliczności łagodzące.

Dr Z. Stahl, niewątpliwy autorytet w sprawach Katynia wspominał, że „Świadek“ jest całkowicie zgodny... ze zgromadzonym materiałem dokumentacyjnym“ i już wtedy stwierdził, że „coraz więcej mówi się i pisze o tej nikczemnej zbrodni... M.in. listy do redakcji „Daily Telegraph“ świadczą, że niemoralna zмова milczenia w tej sprawie została już przerwana“. „Ale było tak nie na długo. I dopiero w 22 lata później tę „zmovę milczenia“ znów przerwały na Zachodzie nowe książki o Katyniu, „Sąd nad sprawcami Katynia“ w telewizji brytyjskiej i debata w Izbie Lordów. Znowu wypada zapytać — na jak długo?

Fakty, że autor „Świadka“ nie zdobył się na napisanie i wystawienie innej sztuki, że „Świadek“ nie doczekał się przez 22 lata przetłumaczenia na język angielski, zdają się wskazywać, że autor uznał zasadnicze zarzuty przeciw swej pierwszej i jedynej sztuce. I może zdał sobie szczerze sprawę z kardynalnego warunku dobrej propagandy, a mianowicie, że może być robiona tylko utworami (pisarskimi, scenicznymi lub filmowymi) utrzymanymi na możliwie wysokim poziomie artystycznym.

Sądząc po ogłoszeniach w „Dzienniku...“ „Świadek“ zeszedł w roku 1949 z afisza w Londynie po 7 przedsta-

wieniach (8—11 i 16—18. II.). Obecnie utrzymał się nie wiele dłużej, bo tylko przez 10 przedstawień, przy słabej frekwencji, pomimo nowej jego aktualności. Na przedłużenie jego egzystencji nie ma już obozów łaknących wszelkiego widowiska scenicznego. Zatem sztuka ta, jak nie była rewelacją artystyczną niegdyś, tak nie stała się nią teraz. Czyż więc nie można było oszczędzić tego zawodu, jaki przeżył teraz autor i zespół, który choć częściowo tylko zawodowy, wywiązał się ze swego zadania poprawnie. Nawet Zbigniew Youriewski zdołał opanować rolę i siebie samego na scenie, jako redaktor Sworzeń, gdy przyszło mu nagle odtworzyć tę mętnie zarysowaną postać sceniczną w zastępstwie aktora, który musiał się roli zrzec.

Nikt z pierwotnej obsady, z której połowa osób zmarła, nie wszedł do nowego zespołu, na który złożyli się: B. Urbanowicz (Pułkownik), R. Ratschka (Inżynier), T. Lisiewicz (jego żona), H. Rawicz (malarka z Polski), W. Schejbal (Doktor). Dekoracje laureata nagrody teatralnej J. Smocarskiego, oświetlenia — jak zwykle — F. Stawińskiego. Organizacja i redakcja programu — O. Lisiewiczowa, zaś układ graficzny — T. Filipowicz.

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodziź w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 7 p.

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 16 p.

KSIEGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Z ŻYCIA KÓŁ ODDZIAŁOWYCH
W SZKOCJI

Z dość licznych pągń kół oddziałowych w Szkocji pozostało zaledwie trzy: Koło 9. Pułku Ułanów Małopolskich Sekcja „Szkocja“, Koło 2. Baonu Grenadierów (Kratkowanych Lwiątek i Koło Marynarki Wojennej. Ułani i grenadierzy siedziby swoje mają w Edynburgu, a marynarze w Glasgow.

Koła ułanów i grenadierów dość żywą wykazują działalność: organizują koleżeńskie zjazdy, wydają własne pisma powielane „Dziwiątak“ i „Wiadomości“, niosą pomoc kolegom rozsiąnym po świecie, a nawet osiadłym w Polsce.

„Kratkowane Lwiątko“ organizują zjazdy co dwa lata, w pierwszych dniach września. Zjazd taki odbył się właśnie w tym roku. Jest to dość silna organizacja. Przed trzema laty Koło Grenadierów i Koło Komandosów połączyły się, co odbyło się bez żadnych trudności, bo większość komandosów przeszła przez grenadierskie szeregi i dzisiaj pracują zgodnie, bez najmniejszych tarć.

Rocznica słynnej kawaleryjskiej bitwy pod Komarowem, gdzie wstąpił się 9. Pułk Ułanów Małopolskich i zdobył Virtuti Militari dla sztandaru Pułku, jest świętem pułkowym „Dziwiątaków“. W tym roku obchód święta pułkowego odbył się w niedzielę, 5 września — Koła w Londynie, a Sekcji „Szkocja“ w Edynburgu. Na tegoroczny obchód święta pułkowego „Dziwiątacy“ zjechali się wyjątkowo licznie, by uczcić jednocześnie 25-lecie Koła i Sekcji „Szkocja“. Większość z nich na obchód swego pułkowego święta przybyła z rodzinami. Od lat honorowym gościem tego ułańskiego święta jest generał Stanisław Maczek, który z 9. Pułkiem Ułanów Małopolskich stykał się kilkakrotnie na polach bitew, kiedy to dowodzony przez niego lotny oddział współdziałał z „dziwiątakami“.

Po nabożeństwie w kościele polskim gen. Maczek wziął udział w żołnierskim obiedzie, który dzięki kuchni Domu Kombatanta w Edynburgu zamienił się w wystawną ucztę. W czasie obiadu piękne przemówienie wygłosił gen. Maczek, nawiązując do wspólnych przeżyć z okresu wojny polsko-bolszewickiej. Przewodniczący Sekcji „Szkocja“, organizator i gospodarz całego obchodu, rtm. Z. Sas-Biliński odczytał listy od „dziwiątaków“ z Polski, Belgii i Kanady.

Obchód święta pułkowego zakończyło walne zebranie Sekcji „Szkocja“, na którym między innymi postanowiono nadal nieść pomoc tym kolegom, którzy tej

Z ŻYCIA
POLSKIEGO

pomocy potrzebują. Na rok następny władze Sekcji wybrane zostały w poprzednim składzie. St. Bł.

JUBILEUSZ 25-LECIA KOŁA SPK.
Nr. 372, „ZBIK“

W dniu 26 września 1971 r. obchodzono 25 rocznicę zorganizowania Koła SPK Nr 372 „Zbik“.

Prezes Koła kpt. Roman Badocha przywitał gości i kolegów z rodzinami, po czym chwilą skupienia oddano hołd pamięci generałów: K. Sosnkowskiego, W. Sikorskiego, W. Andersa, T. Bór-Komorowskiego, N. Sulika i wszystkim żołnierzom poległym w walce o Polskę oraz kolegom, którzy w okresie 25 lat odeszli z Koła na zawsze. Przewodnictwo zebrania objął prezes SPK W. Brytania, mjr Z. Szadkowski. Referat o historii Koła wygłosił prezes R. Badocha. Z kolei przemawiali: prezes Z. Szadkowski, płk T. Wirth, kpt. Mintowt-Czyż.

Na zakończenie części oficjalnej, prezes SPK, Zygmunt Szadkowski, udekorował złotą i srebrną Honorową Odznaką SPK siedmiu członków Koła. We wspólnym obiedzie wzięło udział około 40 osób zaproszonych gości i członków z rodzinami. Prezes R. Badocha, odczytał list od pika L. Gnatowskiego, który jest członkiem Koła.

Następnie rozpoczęła się część rozrywkowa, wykonana przez młodzież, a po tym loteria fantowa.

HOLANDIA

AXEL — SEMBER FIDELIS —
POLSCIE WALCZĄCEJ

Tegoroczny wzruszający i spontaniczny obchód wyzwolenia Holandii, odbył się 18 września. 1. Dywizję Pancerną i gen. Maczka reprezentowali: por. W. Deimel i prezes R. Łuczak, podczas gdy SPK reprezentowane było przez prezesa SPK w Holandii inż. J. Minkiewicza i prezesa Koła SPK „Vlissingen“ i wy-

dawcę „Kombatanta Polskiego w Beneluxie“ red. B. Strenka.

Goście polscy powitani zostali w ratuszu przez burmistrza m. Axel, p. M. K. van Dijke, oraz przez prezesa Towarzystwa „Axel—Polen“, p. D. J. Oggela. Następnie odczytany został list z życzeniami i pozdrowieniami nadesłany przez zamieszkałego w Toronto oswobodziciela i honorowego obywatela m. Axel pika dra Z. M. Szydłowskiego, podczas gdy por. Deimel przekazał pozdrowienia i życzenia w imieniu generała Maczka, również honorowego obywatela m. Axel i hon. prezesa SPK w Holandii.

W pochodzie udano się potem na cmentarz katolicki, gdzie burmistrz złożył kwiaty na grobach ofiar ludności cywilnej, podczas gdy pani Krystyna Czajkowska w imieniu Koła SPK „Vlissingen“ oraz pani Maas-Dieleman i p. Schieman w imieniu T-wa „Axen—Polen“, złożyli kwiaty na grobie pochowanej tam po wojnie żony pika Z. M. Szydłowskiego.

Z kolei udano się na cmentarz ogólny, gdzie pod pomnikiem przy grobach żołnierzy 10. Pułku Dragonów złożyli kwiaty: por. Deimel, prezes Koła SPK „Vlissingen“, red. B. Strenk oraz pp. Den Doelder i H. P. Zegers w imieniu T-wa „Axel—Polen“.

Główna uroczystość oddania hołdu poległym odbyła się pod pomnikiem „Synów Polski poległych za wolność Holandii“, dokąd udano się z rynku w pochodzie przy dźwiękach żałobnych werbli. Wokół pomnika ustawiona była warta honorowa narodowej rezerwy. Po odegraniu przez orkiestrę chorąlu, wieńce pod pomnikiem składali: burmistrz m. Axel p. M. K. van Dijke, prezes SPK inż. J. Minkiewicz, prezes i wiceprezes T-wa „Axel—Polen“ pp. D. J. Oggel i A. J. M. Kesbeke, para dzieci polskich w imieniu Zw. 1. Dywizji Pancерnej w Belgii, delegacje organizacji holenderskich i wszystkich szkół, a następnie córkami dzieci szkolne i przedszkolne, a każde z nich z bukietkami kwiatów, układając z nich przed pomnikiem barwny dywan kwiecia.

Po tym hołdzie trębacz odegrał „The Last Post“ a burmistrz zapalił przed pomnikiem „Znicz wolności“ po czym chór dziewcząt i kobiet holenderskich odśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła“, a prezes SPK inż. J. Minkiewicz zaciągnął na maszt polską flagę, a prezes T-wa „Axel—Polen“ holenderską w trakcie odegrania przez orkiestrę hymnu holenderskiego.

Po powrocie do ratusza prezes lokalnej organizacji Holenderskiego Czerwonego Krzyża p. K. J. van Drongelen wręczył prezesowi Koła SPK „Vlissingen“

gen⁴, red. B. Strenkowi, próporczyk w polskich barwach, z okazji jubileuszu 1956—1971 marszu wyzwolenia, podkreślając tym raz jeszcze więzy łączące mieszkańców Axel z Kołem SPK „Vlissingen“.

Po obiedzie w domach holenderskich gospodarzy, goście polscy z burmistrzem i lawnnikami odebrali na rynku defiladę uczestników marszu wyzwolenia. Następnie kombatanci polscy z prezesem T-wa „Axel—Polen“ i prezesem SPK w Holandii na czele udali się pieszo do Krzyża Dragonów nad kanałem Axel—Hulst, gdzie jak głosi napis polski i holenderski: „...17 września 1944 roku 25 żołnierzy 10. Pułku Dragonów poległo na polu chwały, niosąc wolność Holandii w drodze do Polski...“ U stóp Krzyża w imieniu polskich kombatantów kwiaty złożył por. Deimel z 10. Pułku Dragonów, a w imieniu T-wa „Axel—Polen p. Verplanke.

Wieczorem goście polscy podejmowani byli przez T-wo „Axel—Polen“ wspólną kolacją.

SZWAJCARIA

POŚWIĘCENIE TABLICY PAMIĄTKOWEJ

W miejscowości Wiesendangen w kantonie ZÜRICH odbyło się poświęcenie tablicy pamiątkowej żołnierzy z 2 Dywizji Strzelców Pieszych zmarłych w w polskim szpitalu.

Tablica jest wykonana w bronzie z orłem i literami DSP i nosi napis: „Ku czci zmarłych żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych, Wiesendangen 1940—1945“, także ten sam napis w języku niemieckim. Poniżej nazwiska 10-ciu zmarłych oraz data śmierci. Umieszczono ją nad wspólnym grobem, gdzie złożono szczątki po ekshumacji z poszczególnych grobów. Tablica powstała ze składek społeczności polskiej i organizacji niepodległościowych z inicjatywy Koła DSP w Szwajcarii.

Uroczystość odsłonięcia tablicy rozpoczęło nabożeństwo pastora protestanckiego p. Kiesera, następnie ks. prałat E. J. Frania odprawił połową mszę św. i wygłosił kazanie w językach: polskim, niemieckim i francuskim. Przybyły z Londynu gen. St. Pele dokonał odsłonięcia tablicy wręczając prezydentowi E. Meierowi akt na pergaminie, oddający gminie opiekę nad tablicą. Prezes Koła 2 DSP dr A. Gołaś w dłuższym referacie przedstawił dzieje 2 dywizji i po krótko historię Polski ostatnich lat.

Po części oficjalnej na cmentarzu uczestnicy spotkali się w pobliskiej restauracji, gdzie czekało także kilka stołów zastawionych... książkami. Wyjątkowo

udana wystawa i sprzedaż Kiermaszu Książki dowodzi, że i na takich uroczystościach jest na miejscu i ma powodzenie.

Uczestników ponad 300 osób. Pod koniec zaznaczyć należy, że organizacja całości była bez zarzutu — Zarząd Koła 2 DSP zasłużył na pochwałę.

OBCHÓD 30-to LECIA POWSTANIA POLSKIEGO LICEUM W SZWAJCARII

W auli gimnazjum w Wetzikonie odbyło się dnia 12 września br. uroczyste spotkanie byłych uczniów i grona nauczycielskiego celem upamiętnienia tej wyjątkowej rocznicy.

Zakład naukowy w Wetzikonie powstał w lutym 1941 r. dla żołnierzy 2 DSP internowanych w Szwajcarii.

Uczelnia ta jak wiele innych zorganizowana została przez ówczesne polskie władze przy wydatnym poparciu oficjalnych czynników szwajcarskich, tzn. Komisarzatu dla Internowanych.

Celem upamiętnienia tej rocznicy wyłonił się Komitet Organizacyjny pod przewodnictwem dra Konstantego Biźni. Na uroczystość zjechali się b. uczniowie z wszystkich krajów Europy, Kanady, USA i Afryki Południowej. Z Polski przyjechał b. dyrektor Liceum prof. dr Władysław Drobny, oraz 3 b. uczniów, z Australii nadszedł gratulacyjny telegram z 15 podpisami. Z Francji — b. nauczyciel prof. Józef Mul.

W czasie uroczystości przemawiali: przew. Komitetu dr K. Biźnia, inspektor obozów szkolnych dla internowanych Polaków prof. dr Max Zeller, b. dyrektor Obozu Licealnego prof. dr W. Drobny. W obozie tym korzystało z nauki około 400 młodych żołnierzy polskich, ukończyło szkołę 273, z tego 185 studiowało i ukończyło wyższe uczelnie przeważnie z tytułami naukowymi.

Następne przemówienie wygłosił prezydent gminy Wetzikon Theodor Weilemann pełne wyrazów sympatii pod adresem b. wychowanków Liceum.

B. uczniowie z Polski wręczyli p. Weilemannowi kryształową wazę oraz srebrną plakietę z odpowiednim napisem jako upominek dla gminy Wetzikon.

Po części artystycznej odbył się wspólny obiad. Prasa szwajcarska wykazała ogromne zainteresowanie uroczystością. Szwajcarska Agencja Tel. nadała komunikat do 50 dzienników, pisma ilustrowane przysłały fotografów. Polską pra-

**Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORLA BIAŁEGO“**

się na wszystkich kontynentach poinformował niżej podpisany.

Kazimierz F. Vincenz

KANADA

POLSKA KASA OSZCZĘDNOŚCI W MONTREALU

W życiu Polonii montrealskiej nastąpił doniosły moment, nie przez wszystkich należycie doceniony. Zostały połączone dwie kasy oszczędnościowe. Kasa Oszczędnościowa przy Kole SPK Nr 7 i Polska Kasa Oszczędnościowo-Pożyczkowa w Montrealu. Działalność nowej kasy została rozszerzona. Dotychczas obejmowały one swym działaniem tylko miasto Montreal, obecnie ma ona prawo przyjmowania członków zamieszkałych w całej prowincji. Nowa nazwa kasy brzmi: Polish Credit Union of Quebec.

Stworzona została silna polska jednostka gospodarcza, która liczy w tej chwili 700 członków z kapitałem 600 tys. dolarów. Najniższy udział wynosi 5 dolarów. Najwyższy wkład jednego członka w kasie jest 15 tys. dolarów. Od razu po połączeniu się kas dał się zauważyć wzrost zaufania społeczeństwa, gdyż w ciągu paru dni wpłynęły nowe udziały, w tym jeden na 5 tys. a drugi na 11 tys. dolarów. Kasa mieści się we własnym dochodowym domu, którym opiekuje się Dymitr Snieżek, jeden z pierwszych założycieli kasy w roku 1953. Było ich wtedy 50. Kasa posiada dwie filie. Jedną w siedzibie Koła SPK Nr 7 a drugą przy jednej z polskich parafii w Montrealu.

Kasa udziela pożyczek hipotecznych i indywidualnych. Kierownikiem kasy jest W. Karasiński, który jest równocześnie wiceprezesem Koła SPK. Długoletnim prezesem kasy jest ruchliwy i fachowo przygotowany inż. J. Żółkiewicz, a sekretarzem A. Jankowski.

Dochody kasy stanowią procenty od udzielanych pożyczek i dochód z domu. Walne Zebranie ustala na wiosnę każdego roku wysokość dywidendy dla członków. W roku 1970 wyniosła ona 6 proc. Wszystkie pożyczki i wkłady są ubezpieczone, tak że nawet w razie śmierci pożyczkobiorcy hipotecznego, spadkobiercy nie nie płacą, gdyż całą pożyczkę pokrywa ubezpieczenie. Kasa żadnych podatków nie płaci. W tej chwili rząd federalny Kanady wysunął projekt opodatkowania kas pożyczkowych, co spotkało się z ostrym protestem, podobnych kas wszystkich grup etnicznych. Najmocniejszym argumentem jest to, że kasy te służą pomocą najbardziej potrzebującym, którzy wielkich kont bankowych nie posiadają i nowy podatek uderzy właśnie w tych najbardziej potrzebujących.

O. D. B.

LISTY DO REDAKCJI

„ZARZUTY SĄ TAK CIĘŻKIE...”

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako redaktor książki pt. „Modern Poland between East and West” chciałybym stanąć w jej obronie przed zarzutami, jakie jej postawił p. Trębicki w recenzji, zamieszczonej we wrześniowym numerze „Orla Białego”. Zarzuty są tak ciężkie, że gdyby były zasadne, przekreślałyby ogólną wartość książki niezależnie od takich czy innych jej zalet pochwalonych ogólnikowo przez recenzenta.

Recenzent zarzuca książce, że jest historycznie nieobiektywna, traktuje czytelników obcych jak dzieci, dając im obraz wyretuszowany i kosmetycznie upiększony, zaś w odniesieniu do przyszłości i teraźniejszości nie wychodzi poza truizmy, wikła się w sprzecznościach i anachronizmach, pomija przy tym różne ważne kwestie.

Wszystkie te zarzuty są wynikiem niedostatecznego wmyślenia się recenzenta w charakter, cel i przeznaczenie książki. Jakkolwiek mówi ona o najnowszej naszej historii, nie jest bynajmniej książką historyczną, lecz na wskroś polityczną. Cel jej — wyraźnie na jej wstępie określony — jest polityczny. Ma ona wykazać, że Polska była i pozostaje dynamiczną siłą w środkowo-wschodniej Europie i że wobec tego powinna mieć zapewniony odpowiedni udział w ostatecznej organizacji naszego kontynentu. Przeznaczona dla cudzoziemców — koncentruje się ona na tych faktach i argumentach, które o słuszności tej tezy mogą ich najlepiej przekonać. Jako publikacja w tym kierunku pionierska nie może ona — zwłaszcza przy swych ograniczonych rozmiarach — wyczerpywać sprawy ani jej w pełni rozwinąć, w szczególności w rzeczach drugorzędnych. Mając na oku czytelnika obcego — osadzoną przy tym główną swą treścią we współczesności — nie mogła ona ani wprowadzać czytelnika w złożone przyczyny wydarzeń dawnej naszej historii, krótko w niej tylko wspomnianych, ani wyjaśniać mu takich aspektów czy komplikacji naszych dziejów najnowszych, które albo nie mają żadnego znaczenia na przyszłość, albo zachowują je już tylko dla nas samych. Cel, charakter i rozmiar tej książki, li-

czącej tylko 143 strony, wymagały operowania uogólnieniami, a nawet uproszczeniami polegającymi na uwydatnianiu czynników rozstrzygających i pomijaniu mniej istotnych. Nadto wreszcie fakty z okresu 20-lecia naszej niepodległości wypadło oceniać w książce nie z wewnętrznej perspektywy tego okresu, lecz z o wiele już dziś dłuższej i szerszej zewnętrznej perspektywy całego półwiecza.

Jeśli spojrzeć na książkę i recenzję z tego jedynie właściwego, punktu widzenia, zarzuty recenzenta okażą się nieuzasadnione.

W książce o celu politycznym trudno było się wdawać w roztrząsanie wewnętrznych, ustrojowych przyczyn rozbiorów Polski w wieku XVIII, skoro w ostatecznym rachunku o jej upadku rozstrzygnęła dysproporcja sił między osłabioną Polską a trzema o wiele od niej potężniejszymi wrogami. W krótkiej wzmiance na ten temat wystarczyło to stwierdzenie, bo wchodzenie w przyczyny wewnętrzne wymagało szerszych wyjaśnień, na które brakło miejsca, a po stronie obcego czytelnika — również jego zainteresowania.

Recenzent wytyka przemilczenie krwawego przebiegu przewrotu majowego z r. 1926, nie ma jednak racji zarzucając, że uniemożliwiła to czytelnikowi właściwe zrozumienie go. Dość odczytać omawiający tę sprawę ustęp na str. 20/21 książki, by się przekonać, że naświetla ona nie tylko tło, przyczyny i przełomowe znaczenie przewrotu, ale również jego ostry przebieg, a mówiąc dalej o jego pozytywnych rezultatach, nie pomija i jego ujemnych następstw wewnętrzno-politycznych.

Nie jest zasadny również trzeci zarzut recenzenta — zbyt optymistycznego przedstawiania w książce spraw mniejszościowych. Jeśli się zważy, że odrodzona Polska miała w swych granicach z górą 10 milionów mniejszości narodowych, że były one na ogół wrogo do Polski usposobione, że były niemal stałą przeciw niej judzone przez obu naszych wielkich wrogów, że odtworzone po z górą stu latach niebytu państwo nasze było słabe, gospodarczo zacofane, wewnętrznie skłócone, z dwu stron zagrożone, pozbawione prawdziwych sojuszników, a przy tym parające się z wszelkiego rodzaju trudnościami wewnętrznymi i zewnętrznymi — to fakt, że po-

mimo to wszystko nie dało się ono rozsądzić mniejszościom, liczącym około 1/3 jego ludności, i, co więcej, potrafiło utrzymać stosunki z nimi na stopie pokojowej, można i trzeba ocenić jako nasz poważny sukces polityczny. Książka podkreśla, że sprawa naszych mniejszości była problemem trudnym, mówi o ich nielojalności i ruchach wywrotowych — jednakże porównanie tych konfliktów z konfliktami mniejszościowymi w innych krajach tak przed ostatnią wojną jak po niej może tę zasadniczo pozytywną ocenę tylko jeszcze bardziej wzmocnić. Jeśli chodzi o wspomnianą przez recenzenta „pacyfikację z r. 1930, to warto przypomnieć, że była ona przeprowadzona bez wystrzałów, a późniejsza skarga w tej sprawie została przez Ligę Narodów odrzucona.

Omawiając moje poglądy na temat szans integracji ogólnoeuropejskiej, recenzent kwestionuje moją prognozę stopniowego słabnięcia pozycji Rosji, wytyka sprzeczność i anachronizm w mych wywodach, a wreszcie zarzuca, że zbyt mało mówię o możliwych drogach prowadzących do integracji i nie uzasadnieniem kluczowej roli Polski w jej regionie. Odpowiem na to, że właściwie cała książka jest takim uzasadnieniem: o kluczowej roli Polski w jej regionie decyduje przecież po prostu jej położenie, wielkość względna a przede wszystkim jej dynamizm polityczny — ten zaś właśnie stanowi główny temat książki. Nasze tradycje unijne, dla nas tak drogie i ważne, nie są argumentem dla cudzoziemców — więc je też tylko wzmiankuje. Stawiając sobie za cel pozyskanie czytelników obcych dla idei unii ogólnoeuropejskiej, trzeba było się skoncentrować na głównych argumentach mogących przemówić do cudzoziemców. Należało im mianowicie przede wszystkim wykazać, że włączenie naszego regionu do tej unii będzie dla niej pożądane, a nawet niezbędne, i to, tak dla jej obrony jak i dla jej przyszłego rozwoju, a po wtóre — że mimo sowieckiego panowania nad tym regionem możliwość włączenia go do Europy zjednoczonej stawać się będzie coraz realniejsza w miarę dającego się przewidzieć stopniowego słabnięcia pozycji Rosji.

Jak widać z recenzji, wywodu mego w tej ostatniej sprawie recenzent dobrze nie zrozumiał, uprościł go i wypaczył, dopa-

(dokończniew okok)

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7. gdzie mieści się także adres redakcji. **Korespondencje** z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). **Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena” — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na płd. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon”, 1 rue de la Chèvre d’Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: Kiermasz Książki Polskiej, 4500 Soleure, Case Postale 145; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-, dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Depiata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

trując się sprzeczności i anachronizmów, których w nim nie ma. Ja bynajmniej nie twierdzą, że ekspansja Chin i Japonii zmusi Rosję do defensywy w Europie. Moje przewidywania dotyczące stopniowego w przyszłości słabnięcia ekspansji sowieckiej mają w mej koncepcji o wiele szersze i ogólniejsze uzasadnienie. Oto, w największym skrócie myśl przewodnią mej tezy.

Układ i wzrost sił w świecie od dłuższego już czasu ewoluuje w kierunku dla Rosji niekorzystnym. Nie stoi już ona dziś — jak w pierwszych latach po wojnie — wobec jednego tylko mocarstwa zdolnego się jej oprzeć i leżąc wobec całej konstelacji mocarstw. Choć Ameryka pozostaje w niej nadal głównym Rosji protagonistą, inne mocarstwa, odbudowując i rozwijając swe potencjały, zbliżają się szybko do roli super-mocarstw. Niezmiernie szybkie tempo rozwoju technicznego i gospodarczego Zachodu i Dalekiego Wschodu oraz rosnący opór narodów ujarzmionych przez Rosję sprawiają, że w swej polityce musi ona stosować coraz dalej idącą ekonomię sił i środków. Olbrzymia rozległość rosyjskiego imperium w Azji oraz szybkie narastanie potencjałów Chin i Japonii będzie stopniowo coraz bardziej angażować siły i zasoby Rosji, co przy dalszym jej dążeniu do dorównania Ameryce i malejących jednak możliwościach eksploatacji ludności zmusza ją będzie do zmniejszania nacisku lub rozluźnienia dominacji tam, gdzie ich utrzymanie zużywa zbyt wiele jej sił — oczywiście pod warunkiem, że nie wytworzy to dla niej niebezpiecznego zagrożenia. Taka właśnie sytuacja istnieje w Europie, można więc oczekiwać, że nacisk siły sowieckiej na tym oszarze będzie stopniowo maleć, co umożliwi szerszy rozwój stosunków i więzów wewnątrz-europejskich i w ten sposób przygotowuje grunt dla zachodnich inicjatyw w kierunku stopniowej integracji całej Europy po zachodnią granicę Rosji.

Wszystkie te przemiany wymagają oczywiście dłuższego czasu — są sprawą nie lat, lecz raczej dziesięcioleci. Powolny rozwój warunków sprzyjających integracji Europy nie oznacza jednak, że dokona się ona samorzutnie. Niezbędna jest w tym celu wytrwała akcja, którą trzeba starannie zaplanować. Ten postulat p. Trębickiego jest oczywiście słuszny, najprzód jednak trzeba upowszechnić samą ideę ogólnoeuropejskiego zjednoczenia, doprowadzić do tego, by została ona włączona do politycznych programów państw i organizacji zachodnio-europejskich. Toteż propagowanie tej idei wydaje się najważniejszym celem na dłuższy okres czasu, jako jedyny możliwy dziś sposób działania na rzecz realizacji tej idei. Tak też właśnie omawiana książka traktuje tę sprawę.

Nie jest bynajmniej niekonsekwencją przestrzegać, że, mimo reorientacji polityki sowieckiej, Rosja będzie zawsze skłonna pokryć nowe ofiary, jeśli przyszłoby to jej bez zbyteńnego wysiłku.

Nie jest anachronizmem pojęcie ekspansji terytorialnej, skoro Rosja taką właśnie ekspansję zastosowała w naszym regionie,

a rozwinięte dziś nowe formy ekspansji wymagają przeważnie baz terytorialnych i najczęściej zmierzają do dominacji terytorialnej.

Wreszcie — wbrew tezie recenzenta — wykorzystanie przewagi nuklearnej jest bardzo ryzykowne nawet w warunkach wojennych, zgoła natomiast niemożliwe w pokojowej rywalizacji sił i potencjałów.

Jak widać analiza ta daje podstawy do nadziei na pomyślny dla nas i dla innych rozwój układu sił w świecie. Nie jest to optymizm, bo jest warunkowy. Ale nie jest to też pesymizm, w który tak łatwo popaść pod wpływem krótko- lub wąsko-wzrocznego realizmu.

Kończąc, muszę jednak podziękować p. K. Trębickiemu za jego recenzję. Jak on bowiem chwali książkę za to, że pobudza do myślenia — tak znowu ja jestem mu wdzięczny za pobudzenie mnie do syntetycznego ujęcia mych poglądów — skromnego przyczynku w propagowaniu idei książki, której słuszność i on — jak się zdaje — podziela.

Łączę uprzejme wyrazy Londyn. Jan Ostaszewski

DO POPRAWIENIA

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o ogłoszenie niniejszego listu celem wyjaśnienia, że wiadomość w Notatniku Kulturalnym o „Zebra- niach Sekcji Historii Kultury“ uległa zniekształceniu przez mechaniczne urwanie jej tekstu w połowie zdania. Konwersatorium 4 prelegentów nie było przygotowane tylko przez red. B. Jeżewskiego, ale rów-

nież i przez 3 dalej wymienionych w ma- szynopiśmie prelegentów. Nadto seria 6 wie- czorów nie skończyła się na tym zebraniu, ale odbyły się jeszcze dwa dalsze: dr Feliksa Mroźka i dr Juliusza Załęskiego, na którym to zebraniu odczytano też ko- munikaty mgr. F. J. Kapelińskiego i niżej podpisanego o jego wykładzie na uniwer- sytecie paryskim. Brakło także wzmianki o udziale prezesa Tow. Naukowego prof. dr. B. Helczyńskiego w tej serii odczytów oraz inicjatywy gen. M. Kukiela wznowie- nia prac Sekcji Historii Kultury.

W następnej wiadomości pt. „Katalog czasopism polskich“ po słowach „licznych numerów“ brak wiersza „Kuriера Polskie- go w Bagdadzie“ za... Kilka wierszy da- lej brak słowa „uczonych“ w zwrocie „prac polskich (uczonych) i pisarzy w ję- zykach obcych“.

Do recenzji „Przygoda w Kosmosie“ wi- docznie złośliwy „Jednooki robot“ dosypał garść błędów drukarskich niezauważonych przez korektora, jak „rezonowi“ zamiast rezonerowi, „Toma“ zam. Tomka, „uzna- nie nielada“ zam. zadanie nielada, „ten pomysł“ zamiast też pomysł, „efekty świetne“ zam. świetlne.

Łączę wyrazy poważania, Londyn. J. Ostrowski

W KSIĘGARNI SPK KUPISZ KAŻDĄ KSIĄŻKĘ!

K R Z Y Ż Ó W K A N R 143/71

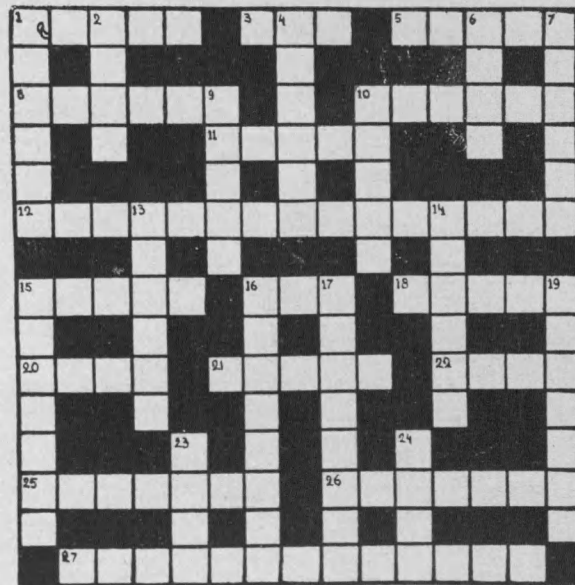
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) lekko- myślny, zmienny; 3) i 16) zwycięska w wojnie pelopone- skiej; 8) linia ciągła, opasująca ciało w ruchu; 10) budzi do życia? (wspak); 11) pisarz polski; 12) wstęp do klótni; 15) i 18) cesarz rzymski, prześl- adowca chrześcijan; 20) miejscowość rozwodów w Ameryce; 21) wspólny dla włosów i wydarzeń?; 22) Otello; 25) postać z We- sela; 23) powieść Rodziewi- czówny; 27) rzecz zupełnie nowa (3, 10).

Pionowe: 1) nim — to szybko; 2) i 6) życzenie w pożegnaniu; 4) sznur; 7) Bohun i Skrzetuski; 9) kwiaty jak gwiazdy?; 10) pasmo (wspak); 13 rodzaj holdu; 14) wzruszenie, l. mn. (wspak); 15) pierw- szy skrzypek łąki (Mickie- wicz); 16) starzyzna; 17) hold, l. mn.; 19) sławny rzymski mówca (wspak); 23) glupek; 24) urazy, czy smutki?

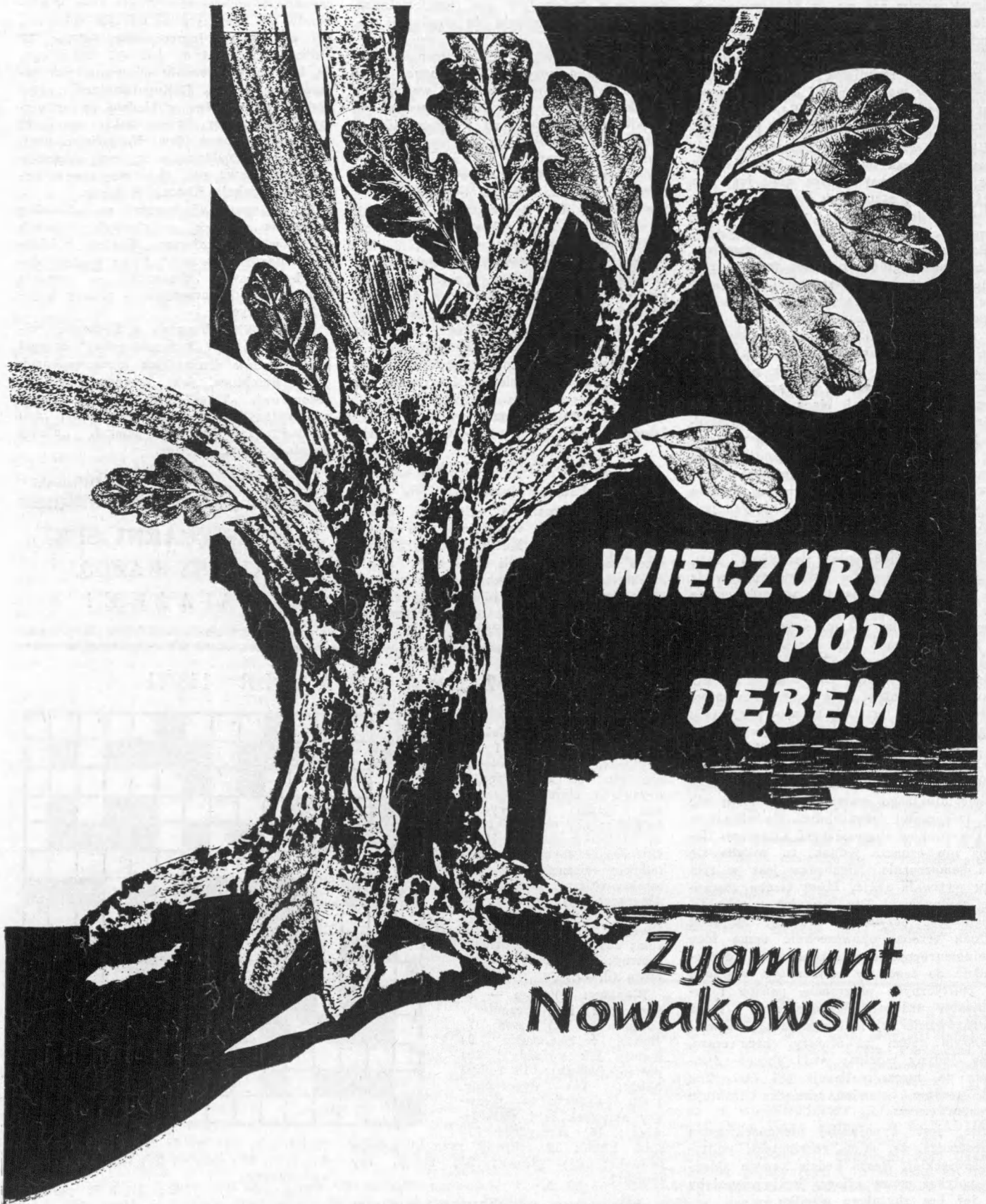
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 142/71

Poziome: 1) i 5) zaprzaniec, 3) i 16) asesor, 8) ósemka, 10) Chocim, 11) habit (wspak), 12) ostatnia koszula, 15) i 18)



Podstolina, 20) gród, 21) edykt (wspak), 22) tryb, 25) kasztel, 26) uciecha, 27) sąd ostateczny.

Pionowe: 1) ziółko, 2) i 6) pieniącz, 4) szabla, 7) chmara, 9) Ateny, 10) chaos, 13) absyda, 14) zaleta, 15) pigułka, 16) szkielet, 17) trubadur (wspak), 19) ambas- ras, 23) osty (wspak), 24) wiec.



**WIECZORY
POD
DĘBEM**

**Zygmunt
Nowakowski**

Cena: £2.2.0 — KSIĘGARNIA S.P.K., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.